

ROK I. NR. 11  
WARSZAWA  
SOBOTA  
16-XII-1933 R.  
CENA 50 GR.

# PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

JERZY OSTROWSKI

## WOLNOŚĆ CZY NIEPODLEGŁOŚĆ?

Stosunek jednostki do swego państwa i państwa do jednostki jest zagadnieniem najdrażliwszym, ale i najfundamentalniejszym. Chodzi bowiem o to, co uznaje się za cel, a co za środek do tego celu. Stanowisko liberalistyczne, do niedawna dominujące, a dziś jeszcze przeważające, uznaje państwo za narzędzie, które ma jednostce ułatwiać życie. Celem jest jednostka: jej swoboda, jej bezpieczeństwo, jej mienie, jej wygoda. Państwo jest czemś, co się toleruje, o tyle, o ile spełnia swoje ułatwiające zadanie.

Nie znosi się więc zbyt wielu wymagań ze strony państwa; protestuje się przeciwko koniecznościom, które zmniejszają prawa jednostki. Dąży się prawie do tego, aby stosunek do państwa zrobić jednostronnym: aby wszystko otrzymać, a nic nie dawać. Aby korzystać z bezpieczeństwa, ale nie przyczyniać się do spójności wewnętrznej, od której to bezpieczeństwo zależy. Aby być chronionym przez sądy, ale ich nie szanować. Aby otrzymywać zasiłki, ale nie płacić podatków. Aby protestować przeciw ingerencji ekonomicznej, ale otrzymywać kredyty i zamówienia.

Państwo jest mocno niepopularnym, zwłaszcza w Polsce. Nie chce się zrozumieć, ani uznać, że państwo pojmowane być może jako idea, która — jak słusznie mówił St. Szczepanowski — żyje i rośnie nie korzyściami, lecz ofiarami swych wyznawców. Przedstawiciele liberalizmu chcą pojmować państwo tylko jako zbiorowisko jednostek, których celem jest jedynie wygodne urządzenie się na świecie.

Ale przecież ojczyzna nie jest spółką akcyjną. Grupa socjalna — jak słusznie zaznacza Dürkheim — stanowi istotną samodzielną, niepokrywającą się bez reszty z prostą sumą składających ją jednostek. Na pojęcie państwa składa się nie tylko zbiorowisko aktualnie żyjących obywateli: zawiera ona w sobie wartości (materiałne i duchowe) zdobyte i przekazane przez pokolenia zmarłe, oraz interes (również materialny i duchowy) pokoleń przyszłych. Skoro zaś każde pokolenie musi uwzględniać istnienie pokoleń następnych, interes państwa staje się siłą aktualną permanentnie, a niewyczerpującą się nigdy doszczętnie w konkretnym zrealizowaniu, czyli — staje się ideą, i ideałem.

Nie oznacza to bynajmniej przekreślenia życia psychicznego jednostki, gdyż człowiek posiada w duszy potrzebę poświęcenia się dla idei, posiada głód idei. I im wyżej stoi w hierarchii duchowej — tym potrzebę tę odczuwa silniej. Człowiek odczuwa potrzebę realizacji idei w działaniu, w twórczości, a przez tę twórczość dąży zarazem do realizowania samego siebie.

Ujęcie to jest krąco przeciwne filozofii, wytworzonej przez królujący do niedawna kapitalizm i industrializm, który wyrzucił się na liberalizm. Może zbliża się ono do mistycznego patriotyzmu państw starożytnych, w których rodzinne miasto — państwo było identyfikowane z bóstwem. Być może nawet, że ujęcie to zawiera w sobie wartościowe pierwiastki spotwarzzone przez nas średniowiecza, w którym ludzie umieli istotnie przejmować się ideami. A przecież jeśli my, uśmiechnięci dziś sceptycy i sybaryci, pogardzamy wojnami religijnymi lub

drwimy z nich, to o ileż bardziej ludzie tamtych czasów mieliby prawo pogardzać naszymi wojnami ekonomicznymi! Mistycyzm starożytności i średniowiecza odradza się. Liberalizm, który jednostce postawił jako cel samą jednostkę — nie zaspokoił jej potrzeby idei, gdyż zanadto zbliżył się do egoizmu. A nawet walka o swobodę i wygodę innych jednostek, czy całych klas — przez stać się szybko ideałem, w miarę swojej realizacji. Przykładem jaskrawym tego zjawiska jest różnica stosunku inteligenta do chłopów przed wojną i po wojnie. Walka o interes chłopów stała się nieaktualna z chwilą, gdy chłop zdobył własne przedstawicielstwo klasowe i zaczął egoistycznie sam walczyć o swoje prawa, uderzając nieraz w interesy tegoż inteligenta, a zawsze usilnie prawując się z państwem o to, co ma dać i co otrzymać. Walka o interes, (jednostkowy, czy klasowy) nie może być ideałem.

Nie wszyscy dostrzegają narodziny tego nowego mistycyzmu, większość tkwi bowiem jeszcze w uwielbieniu dla dawnych ideałów: swobody i wygody jednostki. Co więcej: niektórym się wydaje, że linia rozwojowa libe-

interes jednostki — Europa dojdzie wkrótce do radykalnych posunięć. I liczą na to wyraźnie w swoich wystąpieniach. A jeśli spostrzegają objawy przeciwnie — to uważają je za wstydliwe i hańbiące regresje w postępie świata. I — zależnie od kierunku swych sympatyj — oburzają się lub wstydzą i próbują tłumaczyć, że to tylko chwilowo, że to przejście i że powrócimy do normalnej linii naszego rozwoju: do dalszego rozszerzania praw jednostki.

Czyż jednak nie należałoby pamiętać, że rozwój, czy postęp ludzkości nie idzie po linii prostej, że przypomina on raczej ruch wahadłowy lub może spiralę, która, oddalając się co jakiś czas od dotychczasowych zagadnień, powraca następnie do nich, ale już na wyższym poziomie. W rozwoju ludzkości następują kolejno po sobie okresy triumfu romantyzmu i racjonalizmu oraz indywidualizmu i uczuć społecznych.

Zjawisko „nad-państwa” względnie „państwa totalnego” — jak je nazwał jeden z publicystów polskich — które dziś realizuje się w całym prawie świecie, niezależnie od struktur poszczególnych państw zasługuje doprawdy na poważną uwagę, staje się ono zjawiskiem niejako koniecznym, o charakterze prawie przyrodniczym. I nie jest spowodowane wyłącznie stosunkami i warunkami ekonomicznymi i politycznymi, ale również — a może w pierwszym rzędzie — psychicznymi i etycznymi. Ludzkość potrzebowała nowych idei, nowej etyki, i znalazła to wszystko w poświęceniu się dla państwa.

Nic nie pomoże chowanie głowy w piasek, usilne niedostrzeganie stającej się rzeczywistości lub oburzanie się na nią. Raczej należy starać się uchwycić zasadniczy sens tego, co się staje i kierować tem zjawiskiem tak, aby — wedle najlepszego ludzkiego rozumienia — wydobyc z niego maksimum pożytku, zarówno dla zbiorowości, jak jednostki. Trzeba sobie zdać sprawę, że nie jest jedyną miarą postępu, kultury, czy poziomu społeczeństwa, narodu czy państwa — liberalizm w stosunku do jednostek. Ta „religia liberalizmu”, tak usilnie

propagowana przez ludzi nie będących wyznawcami żadnej idei, przez wygodnych sceptyków i cyników, nie służących żadnej ojczyźnie — musi upaść. Zakończył się okres działania odśrodkowego w stosunku do państwa, działania występującego w imię jednostki, a rozpoczął się okres działania dośrodkowego, skupiającego luźne agregaty jednostek w imię interesu państwa.

\*\*\*

W Polsce bardziej, niż gdzie indziej, istnieje tendencja do identyfikowania kultury i postępu z jak najdalej idącym liberalizmem w stosunku do jednostki. Składa się na to wiele przyczyn. Z jednej strony typowo wschodni, koczowniczy brak konwergencji społecznej, który u Rosjan wyraża się np. większą sympatią i zrozumieniem w stosunku do przestępcy, niż do jego ofiar i do poszkodowanego przez każde przecież przestępstwo — społeczeństwa. Nie mamy w sobie tego zachodniego poczucia prawa rzymskiego, którego surowość była uznawana za konieczną funkcję państwową.

W Polsce ten zdrowy społecznie i właściwy stosunek do zagadnienia szkody społecznej tylko Andrzej Frycz-Modrzewski, który mówi w swym dziele „O naprawie Rzeczypospolitej”: „Aby tedy Rzplita w całości a w zacności sobie przystojnej zawždy była, trzech rzeczy do tego trzeba, to jest: uczciwych obyczajów, surowości sądu a biegłości w sprawach wojennych”.

Nasz charakter narodowy, miękki i anarchiczny, zawsze skłonny do brania w obronę jednostki, a nie zrozumienia interesu państwowego również predestynował nas w kierunku liberalizmu, jakże często wyrażnie szkodliwego dla całości organizmu zbiorowego.

A wreszcie okres niewoli, okres bezpaństwowości, okres walki z obcymi organizmami państwowymi, który nas nastawił wrogo do wszelkich organizmów państwowych, a więc i własnego, który odebrał nam wolność — bycia przyzwyczajeni myślowych w kategoriach państwowych, dokonał wreszcie dzieła naszego odpaństwowienia, a uwielbienia jednostki.

Niedarmo też Marszałek Piłsudski powiedział o społeczeństwie polskim, że potrafi się ono rozczulać nad żołnierzem, ale nie ma zrozumienia dla armji. Jest to jeden z objawów zfeminizowania naszego charakteru narodowego, gdyż — o ile mężczyzna jest nastawiony raczej na ideę, instytucję czy zbiorowość, o tyle kobieta nastawiona jest raczej na jednostkę. W normalnym społeczeństwie te różnice równoważą się i dają pożądaną linję wypadkową, u nas natomiast równowaga ta była przez stulecie zachwiana.

\*\*\*

Wolność jednostki brana jako zasada naczelna i kryterjum najwyższe jest drogą, na której końcu stoi nie tylko warcholstwo i sobokstwo, ale — nawet w najlepszym razie — tak daleko idące odosobnienie się człowieka od człowieka, że społeczeństwo staje się tylko luźną zawieszoną niezłączonych niczym jednostek.

Ta konsekwencja w o l n o ś c i w

T R E Ś Ć:

JERZY OSTROWSKI

WOLNOŚĆ CZY NIEPODLEGŁOŚĆ?

LEON POMIROWSKI

O W S P Ó Ł -

CZESNOŚCI

LITERACKIEJ

BRON. OSTROWSKA

Z OSTATNICH

W I E R S Z Y

A. WIECZORKIEWICZ

W Y S T A W A

P L A S T Y K Ó W

LEGJONOWYCH

OLGIERD GÓRKA

KNIAŻ JAREMA

J. E. SKIWSKI

P R Z E G Ł A D

P R A S Y

MARJAN ŁODYŃSKI

CZEM MAJĄ BYĆ

B I B L I O T E K I

UNIWERSYTECKIE

WŁADYSŁAW SEBYŁA

RECENZJE O POEZJACH

JASNORZEWSKIEJ

P R Z Y B O S I A,

CZUCHNOWSKIEGO

POLEMIKI, SPRAWO-

ZDANIA, KRONIKA

razie jej realizacji zupełnej musiałaby się odbić nieodparcie na spoistości państwa i zagrozić jego niepodległości. Te dwa hasła, wolność i niepodległość, tak często wymawiane jednym tchem, nie są bowiem związane ze sobą w stosunku prostym, lecz nawet — w pewnym znaczeniu — są do siebie w stosunku odwrotnie proporcjonalnym: zbytne rozszerzenie praw jednostki, zbyt duża tolerancja w stosunku do dążeń odśrodkowych zagrażałaby niepodległości; zaś dążenie do zachowania i wzmożenia niepodległości, niezależności państwa od wszelkich czynników zewnętrznych — prowadzić musi do częściowego ograniczenia praw jednostki i jej dążeń odśrodkowych.

To też istnieją dwa hasła, które zawsze będą sobie przeciwstawne: „*sum cuique*” i „*salus reipublicae suprema lex est*”. Hasła te są dalece sobie przeciwstawne, że nie zdołała ich złączyć na gruncie życia realnego nawet wspólna walka ich wyznawców z niewolą.

\* \* \*

Zwolennicy liberalizmu nie zdają sobie sprawy, że ich idea zawiera w sobie samo-

bójczą truciznę, grożącą właśnie hasłu tolerancji. Tolerowanie bowiem wszelkich, najskrajniejszych nawet poglądów prowadzi w rezultacie do rozszerzenia się hasel najgroźniejszych właśnie dla liberalizmu, hasel dyktatury obu obozów. Tę wewnętrzną sprzeczność w łonie liberalistów, demokratów i parlamentarzystów wszelkiego rodzaju obserwowaliśmy w świetle groteskowem na przykładzie Austrii, gdzie socjaliści zwalczali surowe zarządzenia skierowane przeciwko hitlerowcom, ze względów „zasadniczych” mimo, że w razie swojej wygranej torowałyby tylko drogę siłom, przygotowującym właśnie dla nich nieliberale obozy koncentracyjne.

\* \* \*

W polskim świecie literackim dzieje się nieco podobnie. Niektórzy pisarze lubią epatować swoją rewolucyjnością i kokietować prądy skrajne, mimo, że w razie zwycięstwa — byłiby jednymi z pierwszych, którychby postawiono pod ścianę, jako konserwatystów i kontrrewolucjonistów lub zmuszono bez żadnych apelacji do pisania pod dyktando. Jako argument zaś często przytaczają naszą sytuację pod zaborami, wstydząc się niejako posiadania

własnych sądów, własnej armii, własnej policji, słowem własnej siły państwowej. Marzą oni sobie nieobowiązująco o jakiejś anarchistycznej siłance, w której możnaby znieść wszelkie władze i sankcje, a człowiek — mimo to — byłby aniołem dobroci.

Ten ultra-liberalizm, karykaturujący wzniosłą, potężną i płodną ideę wolności, t. j. pełni rozwoju duchowego człowieka, u nas w okresie wyjątkowej śmierci tych tendencji w całej Europie i Ameryce, jest doprawdy dziwnym pogrobowcem i zarazem wyrazem zupełnego niewyczuwania sytuacji i oderwania się od rzeczywistości. A literatura, która nie wyczuje wzbierającej się fali owego „nowego mistycyzmu”, jakżeś może pozwoili ten prąd nazwać, która nie potrafi zapatrzyć się w potęgę i wielkość stojącego się państwa — skazana będzie na uwiad i poostanie daleko w tyle, za idącą ludzkością. Straci „kzad dusz”, który jest i powinien być jej ambicją, stanie się czemś oderwanem od podłoża społecznego. Nie twórczością — lecz czemś bezplodnym i obojętnym, niczem więcej jak tylko zabawą w zręczne układanie klocków — słów i klocków — obrazów.

Jerzy Ostrowski.

**Dusza ludzka jako teren podbojów**

Ale zrozumienie roli związane jest ze zrozumieniem świata, a więc z koniecznością opanowania go na użytek twórczości. Światem artysty jest dusza ludzka — we wszystkich jej osobistych i społecznych manifestacjach. Tu więc zaczynają się podboje pisarza, nurkowanie w tajemne przepaście w pogoni za prawdą. Sędziwy aforyzm, że człowiek jest mikrokosmosem ludzkości, a jego dzieje osobiste — wykresem historii ludzkiej, nabrał nowych rumieńców. Całość kształt życia ludzkości współczesnej można wszak zbadać na cząstce tego życia, na człowieku. Ale zbadać istotę współczesnego podłoża ludzkości w jednym człowieku, albo raczej wskazać na nieobliczalną możliwość dynamiczne, śpiące w statycznych elementach jednostki, — to wykrywać wielkość w małości. Jednostki wyraźnie przeciętnej — nie należy o tem zapominać.

**Sily wieksze od zamiaru**

Charakter i sens dzisiejszych zdobyczy literatury polega na wygrywaniu tego kontrastu pomiędzy ograniczoną świadomością, zamiarów a nieograniczonością sił, zawartych w naturze człowieka. Jesteśmy tu w obliczu odwróconych czynników romantycznej dewizy „mierz siły na zamiary”, choć romantyczny ton tego okrzyku pozostaje ten sam. Przedtem bowiem uważano, że zamiary stokrć przerastają skalę sił, dziś — naodwrot — jesteśmy przeświadczeni, że utajone siły przeciętne osobnika stokrć przerastają jego ambicje i zamiary.

Rzecz jasna, że dramat tej dysproporcji rozgrywa się przeważnie w dziedzinie podświadomości; człowiek, nieświadomy drzemających w sobie potęg, groźniej odczuwa ich wybuch i rewelację swego ja. Widzimy tu niewątpliwą wpływ psychologii James'a, freudyzmu i innych odkryć z dziedziny anatomji ducha, oraz między innymi, słusznie przez Chwistka podniesionej myśli prof. Schlicka o decydującem znaczeniu t. zw. sądów doświadczalnych.

**Niezwykłości wewnętrzne zwykłego człowieka**

W literaturze zachodniej, oddawna już śledzimy ten objaw zainteresowań; niezwykłości wewnętrzne zwykłego człowieka stają się tam od przeszło pół wieku głównym pionem tematycznym. Wystarczy zwrócić uwagę na literaturę skandynawską, a szczególnie na powieści Hamsuna i analizę grozy w życiu małego człowieka; na dzieła Hardy'ego, a przede wszystkim Conrada i zawarte w psychologii jego bohaterów irracjonalne żywioły; na utwory Tomasza Manna, a zwłaszcza na psychologiczne przemiany „Góry Czarodziejkiej”; na lamiący doktrynę naturalizmu wspaniałe psychologizm Zoli, Maupassant'a, Flaubert'a, Stendhala — wreszcie na potęgę „ciemnych mocy” w życiu drobnym i wielkich biesów w twórczości Dostojewskiego. Wybrałem z umysłu postacie reprezentacyjne rozmaitych literatur, aby nie nużyć cytatami.

**Psychologiczne znaczenie „nieznanego żołnierza”**

Burliwą i powszechną ekspansję tych zainteresowań stworzyła wojna. Ujawniła ona w całej pełni rozdźwięk między siłą życia tragicznego, a rolą „nieznanego żołnierza”. Tragizm ów zdemaskował niezgłębione dotąd pokłady życia duchowego w najprzeciętniejszym nawet człowieku. Pod wpływem wojny abstrakcyjne pojęcie masy, zbiorowości, powszechności, — nabrało sensu i ludzkiej krwi. Nic nie znaczący, będący elementem liczby, żołnierz na wojnie dał fantazyjną niemal miarę ludzkich zdolności wychodzenia poza siebie. W przeżyciach artystów i literatów stał się większą sensacją od sensacyjnych wyników wojny, stał się bowiem w strasznej swojej roli jakby królikiem doświadczalnym nowej wiedzy o człowieku. Świadczą o tem powieści Struga, Zweiga, Remarque'a, Dorgeles'a, Duhamel'a, Frey'a i całej masy autorów.

Ale oczywiście nie chodzi mi o powieściową rekonstrukcję psychologii żołnierza. Żołnierz, jako jednostka wojskowa, stał się punktem wyjścia dla odkryć pisarskich we wszystkich innych dziedzinach bytu „nieznanego żołnierza” — wogóle.

BRONISŁAWA OSTROWSKA

**Z CYKLU — OSTATNIE WIERSZE \*)**



Po strzyżonym grabowym szpalerze  
Chodzę deptając obcięte gałęzie.  
Kwiaty świeże — nie wierzę — rany  
świeże.

Nożyce, pomiary, uwięzie.  
Chyba wylot dalekiego błękitu,  
Wylot nagły, nikły daleki.  
Na nim modrość wczesnego świtu,  
Żar południa, gwiazd złote ćwieki.  
Nic, tylko te okna i te ściany  
Żywe broczące, współczujące.  
Niema kwiatów są tylko świeże rany:  
Nie urażę, nie dotknę, nie potrącę...

Serdeczne rozrzewnienie  
Jak wiosenna ruń  
Kielkuje, kielkuje  
na dnie —

Kurz przysypuje,  
Przytłacza je gruz,  
I biegną, i biegną  
dnie.

Serdeczne rozrzewnienie —  
O, nie zechciej się śmiać! —  
I w tobie, i w tobie  
trwa.

Wybuja — w alleluja,  
Zafaluje jak łan —  
Choć nie wiesz, choć nie wiesz  
dnia.

\*) Z IV tomu „Pism poetyckich”, który ukaże się w dniach najbliższych w nakładzie J. Morkowicza.

LEON POMIROWSKI

**O WSPÓŁCZESNOŚCI LITERACKIEJ**

**Nowe zadania i trudności jako cechy nowej literatury**

Jak poznajemy nową literaturę i jej twórczy charakter? Przeważnie ze stanowiska nowych zadań i trudności, które sobie narzuca, i z którymi się zmagają. Pod tym względem dzieło pisane żywo przypomina dzieło wewnętrznego rozwoju człowieka. Jest to proces ustawicznych przezwyciężeń, jakby romantyczna woła do wychodzenia poza siebie. Wprowadzie trzeźwy racjonalizm upatruje w takim ujęciu paradoksalną grę słów — boć przecie poza granicą własnych sił niczego dokonać nie można. Byłoby to jednak nieporozumienie. Chodzi nie o przekraczanie indywidualnej mocy twórcy, lecz o coraz głębszą świadomość samego siebie, o zwalczanie tych granic, które wydają się ostateczne w poznawczym stosunku do życia.

**Rola metafory**

Tworzenie nie jest układaniem gotowego budulca, lecz ociosywaniem nowego. Fakty, pojęcia i słowa dla prawdziwego twórcy stają się zawsze murem do przebicia. Zmysłowa i umysłowa rzeczywistość jest dla niego metaforą innej, ukrytej, prawdziwszej. Tu się zaczyna wogóle znaczenie i rola metafory. Dla odtwórców metafora jest tylko środkiem opisu, stylistycznym narzędziem przenoszenia cech jednej rzeczywistości w drugą w tej samej płaszczyźnie uczuć i myśli. Dla istotnych twórców metaforą jest cała rzeczywistość. Trzeba tę rzeczywistość przeorać i pokonać, aby zdobyć nową rzeczywistość, t. zn. nową twórczą wizję świata. Zasadniczym rysem współczesności są właśnie owe wysiłki przekraczające dotychczasową praktykę literacką w zakresie treści i formy.

Jest to swojego rodzaju „mierzenie sił na zamiary”.

**Istota hasła „mierz siły na zamiary”**

Romantyczną tę dewizę należałoby odklamać od narosłego na niej szablonu. Szablonem stało się przekonanie, że wspomniane hasło jest równoznaczne z romantyczną nieodpowiedzialnością wobec życia. Tkwi w tem nieporozumienie. Jeżeli w grę wchodzi twórca, to nie może być mowy o istnieniu zamiarów poza siłami. I w okresie romantyzmu i w każdej innej twórczo natężonej epoce, mierzyć siły na zamiary, to czerpać nowe siły w zamiarach. Siły nigdy same nie przychodzą, trzeba po nie sięgać wolą nowych zdobyczy. Dzisiejsi zapóźnieni pozytywiści zwalczają tę dewizę, powołując się na grafomanję romantyczną, i złudzeni łatwym triumfem, triumfują nad istotą romantyzmu wogóle. Literatura dzisiejsza, tak odmienna w środkach działania, technice i poglądzie na świat, posiada swój własny ładunek romantyczny. Ładunek ów zawarty jest w dążeniu do ideowego opanowania materialistycznych motorów współczesnego świata.

**Artysta wobec nowej rzeczywistości**

Wszystko dziś staje się w świecie tajemnicą. Po tylu trzeźwych etapach kultury umysłowej, po racjonalizmie, pozytywizmie, i pragmatyzmie — znowu stajemy w obliczu wielkiej niespodzianki, jaką zgotowała współczesna chwila dziejowa. Zagadką stają się wszystkie znane zjawiska, pozornie przeświecone i wyjaśnione: i wojna, i okres powojenny, będący dalszym ciągiem wojny w ramach społecznych i politycznych przeobrażeń, i zmiany obyczajów i wreszcie przewroty techni-

czne. Artysta szuka wewnętrznego odpowiednika tych zewnętrznych zmian. Człowiek musi przecie doznawać wpływu tych wielorakich przemian. W psychice też muszą się odbywać przeobrażenia i przewroty, tylko może jeszcze w sferze podświadomości, pełnej chaosu i sprzeczności. Niezwykle przejawy otaczającej rzeczywistości stają się dla artysty, jakby odgłosem nowych potęg, które zostały poruszone w naturze człowieka. Nowych, bo nieświadomych, w każdym zaś razie świadczących o tem do jakich nieprawdopodobnych możliwości zdolna jest ta natura, sprowokowana warunkami do „wyjścia poza siebie”.

Czy wojna i ludzkie w niej przeżycia nie były dowodem przekraczania wszystkich dopuszczalnych potencjałów wytrzymałości — myślowej i fizycznej? Czy przy tej okazji nie zostały porażone socjologiczne i psychologiczne kryteria? A okres powojenny przełomów politycznych? Czy światowizm rosyjski, faszyzm włoski lub hitlerizm niemiecki nie są swoistego rodzaju próbą „wyjścia poza siebie i ponad siebie”? Czy była przedtem do pomyślenia taka w tych krajach rewolucja i taka tej rewolucji wola stabilizacji? Czy niema w tem tajemnicy dla naszych, proberzy społeczno-ekonomicznych, czy fakty te nie budzą zdumienia naukowej psychologii? A to co daje współczesna fizyka i chemia — czyż nie jest ciosem, zadanym konserwatywizmowi naszych wyobrażeń, czy nie otwiera źródła nowym marzeniom, czy nie rodzi wiary w fantastyczne perspektywy — pozornie zwykłych, realnych, tak dobrze znanych zjawisk? Wrażliwość artysty zbiera, chłonie te fakty i szuka po przez nie drogi do zrozumienia roli nowej twórczości pośrodku nowych zdarzeń świata.

Analizie poddany został zresztą nie tylko szary człowiek współczesności, ale i przeszłości. Nowa wiedza o człowieku zmusiła do surowej rewizji dotychczasowego dorobku artystycznej psychologii. Jak z powyższego wynika w literaturze dzisiejszej nie chodzi o badanie, jak dotąd psychiki o wymiarach koturnowych t. zn. takich ludzi, których świadomość lub czyny nacechowane są niepopolnością gestu czy postawy.

### Zycie poświadome szarego człowieka

Przedmiotem ciekawości literackiej staje się życie osobników prawie bezwarzowych, ludzi tłumu. Centrem tej ciekawości jest sfera podświadomości, śpiące królestwo niewyzyskanych, przyrodniczych możliwości, słowem — podziemia duchowe. Właśnie ów przyrodniczy charakter psychiki najsilniej ujęci artystów. Znajdują oni tutaj złoża nowego tajemniczego realizmu, będącego przecież ukrytym źródłem wszystkich znanych i oklepanych przejawów życia. Jakże silnie działa podniecający rozdźwięk między tem czym ludzie są i czym mogą się stać, gdy wykołoi się ich z utartej ścieżki, gdy zakłóci się automatyzm ich funkcji życiowych. Z ważniejszych przedstawicieli tego typu zadań twórczych należy wymienić oprócz wspomnianych już Hamsuna, T. Manna, Conrad, Duhamel'a, również takich, jak Undset, Proust'a, Joyce'a, Bernanos'a, Galsworthy'ego, Green'a, Mauriac'a, Dos Passos'a, Roth'a i wielu, wielu innych, którzy swoim stosunkiem do świata nadają piętno epoce literackiej. Jeżeli chodzi o literaturę polską to przedstawicielami wspomnianego wyżej psychologicznego realizmu, pomijając różnice poziomów i indywidualności, są: Kadenz Bandrowski, Zofja Nalkowska, K. H. Rożnowski, St. I. Witkiewicz, Strug, Marja Dąbrowska, Michał Choromański, Jarosław Iwaszkiewicz, Ewa Zarembina, Herminja Naglerowa, A. Rudnicki, Wanda Melcer, L. Kruczkowski, T. Kudliński, Z. Grabowski, E. Szeplińska i in.

### Problem służby społecznej

Gdy się już doszło do wzmianki o współczesnej literaturze polskiej, należy jeszcze jedną ważną kwestję poruszyć, mianowicie kwestję t. zw. służby społecznej.

### Brzozowski a Młoda Polska

Sytuacja tu nie jest taka prosta jak to się pozornie wydaje.

W okresie modernizmu gwałtownie odrzekano się od związku pojęcia sztuki z pojęciem użyteczności. W propagandzie hasła „sztuka dla sztuki” z wielką brawurą szerzono tezę całkowitej bezinteresowności piękna, odcinając się z pogardą od jakichkolwiek obowiązków sztuki, oprócz tych, które narzuca wizja, wola czy wzruszenie twórcze. Krucjata Brzozowskiego przeciwko temu imperatywowi samowystarczalności artystycznej w istocie posiadała w dużej mierze te same dodatnie i ujemne strony co i estetyzm Młodej Polski. Odwracanie się Młodej Polski od życia kierowane było skądinąd naturalnym instynktem samozachowawczym sztuki przed społecznym wykośleniem, ale doprowadzane do ostateczności, groziło zupełnym zerwaniem z rzeczywistością i wyjałowieniem. Akcja Brzozowskiego przeciwko t. zw. bezdziejowości polskiego modernizmu budziła ożywczą konfrontację potrzeb sztuki z potrzebami życia społecznego, ale w bezwzględności i doktrynerstwie swoim groziła zniszczeniem czy rozbiciem indywidualności twórczej.

Jeżeli o tym patetycznym konflikcie między krytyką a literaturą wspominać, to ze względu na interesujące mnie tu zagadnienie służby czy obowiązków literatury, zagadnienie bynajmniej niewygasłe, przeciwnie, ciągle aktualne. Aktualne, oczywiście, w wymiarze nowych warunków egzystencji. Te nowe warunki, z gruba biorąc, wyrażają się w tym, że o ile modernizm z konieczności oparty był w dużym stopniu na nadużyciu wyobraźni, to dzisiejsza literatura rośnie w atmosferze normalnego stosunku do rzeczywistości i może weryfikować własne wyobrażenia o życiu zjawiskami samego życia. Ten związek z rzeczywistością narzuca nowy obowiązek — obowiązek przenikania, poznawania i docierania do prawdy otaczającego

bytu, ażeby treść jego przetwarzać na coraz to nową formę artystycznego wyrazu. Zamykanie się w t. zw. „wieży z kości słoniowej” w żadnej epoce nie dalo literaturze ani sił, ani prawa do kierowania życiem. Zyciem kierować może tylko życie, na mocy współtwórczych doświadczeń z innymi, w siłkami otaczającej rzeczywistości. Kto własnej wartości wewnętrznej nie zahartuje w ogniu często obcych i wrogich objawów egzystencji, czyja próba artystyczna nie wynika z próby sił między wolą indywidualną a wolą życia zbiorowego, ten będzie mniej lub więcej efektywnym stylizatorem a nie twórcą.

### Odpowiedzialność artystyczna jako forma społecznego obowiązku literatury

Nie znaczy to, naturalnie, że pragnę widzieć w utworach literackich jakieś socjologiczne czy filozoficzne przekroje. Byłaby to beletryzowana publicystyka. Chodzi mi o tę wewnętrzną rezerwę intelektualną pisarza, w której przegląda się i nabiera głębi ujęcie najprostszego, pozornie nieważnej rzeczy. Chodzi o ambitny wysiłek „wyskakiwania ze skóry” dla dotarcia do tych korzeni, które jakiś jeden wybrany temat zrasta się z korzeniami całokształtu ludzkich spraw. Jest to więc również swojego rodzaju obowiązek, ale obowiązek artystyczny, w którym chodzi o to, aby treść przedstawionego życia łączyła się z formą w jednolitą całość, aby z rzeczywistości danej stworzyć nową i w ten sposób posuwać naprzód kulturę. Zasadniczym przeto warunkiem służby społecznej współczesnej literatury jest wojujący stosunek pisarzy wobec spraw otaczających, jest ich zdobywca wola wobec życia i siebie samych. Nie może tu być mowy o rozdzieleniu między światem twórcy a światem innych ludzi i spraw, choćby ci ludzie i te sprawy były wrogi. Chodzi o pokonanie tej wrogości, o przezwyciężenie świata na rzecz sztuki. Wszystkie te inne sprawy powinny się stać sprawami pisarza nie na mocy jakiegoś programowego, społecznikowskiego rygoru, lecz przez odczucie w sobie potrzeby wypowiedzenia świata. Wtedy najbardziej osobiste przeżycia staną się wyrazem ogólnoludzkich możliwości, i tylko miara tych możliwości, siła ich opanowania i przedstawienia, stanie się miarą wartości dzieła.

Tak więc, mimo realizacji niepodległościowych marzeń, zagadnienie społecznej odpowiedzialności literatury nie upadło, zmieniło tylko swój charakter. Przedtem utwór był zazwyczaj tubą i pretekstem narodowych i społecznych tendencji autora, dziś tendencje owe powinny bezpośrednio wynikać z układu czynników artystycznych utworu, być głosem artystycznej treści życia a nie głosem społecznych postulatów autora. Decyduje o tem forma, albo — jak chce Croce — ekspresja całości, której muszą podlegać wszystkie uczuciowe, myślowe i techniczne składniki pracy. Forma ta, której pojęcia rozszerzam do twórczej odpowiedzialności pisarza wobec życia — jest dziś jedynym ograniczeniem swobody wewnętrznej autora, albowiem w takim ujęciu forma owa choćby utwór był nawskroś liryczny, nabiera wartości wybitnie społecznej. Dalsze konsekwencje tak pojętego zagadnienia formy i związanego z nią poczucia odpowiedzialności twórcy wobec rzeczywistości, prowadzą do uznania wojującej postawy pisarstwa.

### O wojującą postawę pisarstwa

Wojująca postawa wobec — kogo, czego? Rzecz prosta — wobec życia. Walka przeciw życiu — o życie. W politycznie wolnej Polsce musi się nieustannie toczyć walka o coraz doskonalszy kształt ojczyzny. Problem ojczyzny nie może bowiem redukować się do faktu zewnętrznej niepodległości i eksploatacji uzyskanych zdobyczy. Byłby to program minimalny w zakresie pojęcia kultury. Warunkiem utrzymania osiągniętej już wolności — jest ciągłość tego wolnościowego wysiłku, nieprzerwana walka o dalszy rozwój życia we wszystkich jego dziedzinach. Pisarz współczesny w pierwszym rzędzie powołany jest do torowania drogi tej wewnętrznej potrzebie wolności, a więc budzenia — poprzez twórczość swoją — woli do coraz większej pełni życia.

M. ŁODYŃSKI

## CZEM MAJĄ BYĆ BIBLIOTEKI UNIWERSYTECKIE?

Niezmiernie ciekawe i aktualne zagadnienie „bibliotek uniwersyteckich”, poruszone przez dra J. Grycza (Pion, Nr. 9, str. 3) — należy, według mego zrozumienia sprowadzić przede wszystkim do pytania: **czem mają być biblioteki uniwersyteckie?**

Swoisty rozwój naszych stosunków politycznych, a z tem i kulturalnych, narzucił bibliotekom uniwersyteckim zdawna obowiązki pozauniwersyteckie. Zanim rozpowszechniła się i przyjęła u nas, płynąca ze Stanów Zjednoczonych A. P., myśl tworzenia bibliotek publicznych, t. j. ogólnie dostępnych, a służących zarówno naukowemu jak oświatowemu i ogólnokształcącemu celom, oraz zanim powstały polityczne i materialne możliwości tworzenia takich bibliotek na naszych terenach — istniały już zdawna biblioteki uniwersyteckie i istniały już liczne osoby, które, nie pozostając w oficjalnym stosunku do uniwersytetu, musiały mieć dostęp do materiałów naukowych, a to ze względu na własne zainteresowania naukowe.

Od dawna też nasze biblioteki uniwersyteckie — w rozumieniu, że one są w danych ośrodkach głównymi warsztatami pracy naukowej — udostępniały swe zbiory wszystkim osobom pracującym naukowo, bez względu na ich przynależność do uniwersytetu.

Z czasem zwyczaj ten stał się niepisany obowiązekiem, by niejednokrotnie uzewnętrzniać się w statutach czy regulaminach poszczególnych bibliotek uniwersyteckich.

Oczywiście zwyczaj ten stał się bardzo często dla tych bibliotek życiową a nawet złotodajną źródłem dopływu licznych a czasem bezcennych darów, pochodzących właśnie od osób prywatnych, związanych z daną biblioteką węzłami wdzięczności za udostępnienie im materiałów badawczych.

Ale obok tych dodatków następstw stosunku naszych bibliotek uniwersyteckich z osobami pozauniwersyteckimi, uwidacznia się i przejaw ujemny, a to w spaceniu linii rozwoju biblioteki uniwersyteckiej, która zamiast być sui generis biblioteką instytucyjową, odpowiadającą ściśle zakresowi i programom uniwersytetu — rozbudowywała się coraz więcej w charakterze uniwersalnym bez względu na rozpiętość potrzeb odośnego uniwersytetu.

Niejednokrotnie wpływało to z przydanego lub dobrowolnie wziętego na siebie charakteru odośnej biblioteki; np. B. t e k a J a g i e l l o Ń s k a nosiła i nosi dotąd statutowo charakter biblioteki narodowej; Warsz. B. t e k a U n i w. przy swym założeniu w r. 1817 otrzymała nazwę B. t e k i P u b l i c z n e j, a W i e Ń s k a B. t e k a U n i w. od swej restytucji aż do r. 1933 nosiła nazwę Publicznej i Uniwersyteckiej B. t e k i B. t e k i P u b l i c z n e j.

Dodać wreszcie trzeba, że już z czasów zaborców, a tem więcej obecnie na to przekształcenie charakteru bibliotek uniwersyteckich

wpływało w sposób decydujący bezplatne otrzymywanie całości (bez względu na treść) drukowanej produkcji z większego czy mniejszego rejonu kraju. Fakt ten bowiem przez swą liczbową nadwyżkę materiałów różnorodnych nad celowymi zakupami, wpływającymi z potrzeb uniwersytetu — przyspieszał jeszcze i przyspiesza zupełną zmianę charakteru zbiorów uniwersyteckich.

Ostatecznie dzisiaj z tych czy innych powodów wszystkie nasze biblioteki uniwersyteckie stały się uniwersalnymi bibliotekami publicznymi, i to nie tylko dlatego, że ciąży na nich obowiązek dostępności dla osób pozauniwersyteckich, ale przede wszystkim dlatego, że częściowo z pełną świadomością a częściowo z powodu dopływu t. zw. egzemplarzy bibliotecznego — przekształcają i coraz więcej będą przekształcać uniwersytecki charakter swych zbiorów.

Oczywiście fakty te mają swe następstwa. Jedne z nich — to wzrastające wymagania, zgłaszane pod adresem zarządów bibliotek uniwersyteckich ze strony zainteresowanych czytelników pozauniwersyteckich a inne — to reakcja bibliotekarzy uniwersyteckich, którzy coraz częściej znajdują się w położeniu bez wyjścia, gdy przychodzi im uzgodnić słuszne wymagania, płynące z kół uniwersyteckich, z niemniej słusznymi wymaganiami sfer pozauniwersyteckich, i to tem więcej, że zaspokojenie tych wymagań mogłoby mieć rozbieżny wpływ na rozwój zbiorów, charakter ich udostępnienia a częściowo i na postać ich opracowywania.

W Niemczech, w kraju co do dróg rozwoju bibliotek uniwersyteckich najwięcej zbliżonym do naszego, a równocześnie bibliotekarsko bardzo wysoko stojącym — reakcja bibliotekarzy uniwersyteckich poszła, jak wiadomo, po linii hasła: **wydobycia bibliotek uniwersyteckich z pod zależności władz uniwersytetu.**

Nie ulega też wątpliwości, że przy obecnym stanie rzeczy wczesniej czy później ustosunkowanie się naszych bibliotekarzy uniwersyteckich do tej sprawy — będzie musiało przyjąć tę samą postać.

Tem, co — według mego zdania — może całemu zagadnieniu dać inne rozwiązanie, to zmiana obecnego charakteru bibliotek uniwersyteckich, a więc nawrót ich do ich istotnych zadań, a przekazanie innym instytucjom (istniejącym lub mającym powstać) tego, co biblioteki uniwersyteckie odrywa od ich pracy i właściwego kierunku rozwoju.

Oczywiście dla trafnego przekształcenia obecnej sytuacji i dla wytyczenia bibliotekom uniwersyteckim właściwych ram dalszej rozbudowy — nieodzowną jest współpraca uniwersytetów z czynnikiem decydującym o całości państwowej polityki bibliotecnej.

## PRZEDŁUŻAMY SUBSKRYPCJĘ!

Wobec wielkiego zainteresowania i szeregu żądań listownych zdecydowaliśmy się przedłużyć subskrypcję na wydanie bibliofilskie:

„MOWY MIANEJ PRZY OTWARCIU AKADEMII LITERATURY”  
która ukaże się p. t.

### WACŁAW BERENT — „ONEGDĄJ”

Druk wykonany będzie antykwą polską A. Półtawskiego, w nakładzie 300 egz. na papierze simili-japońskim i 1200 na papierze zwykłym.

W subskrypcji cena tego tomu, drukowanego na papierze zwykłym, wynosić będzie . . . . . 1 zł. 50 gr.

dla prenumeratorów zaś „Pionu”, którzy wpłacili lub wpłacają jednocześnie prenumeratę kwartalną . . . . . 1 zł.

Na papierze simili-japońskim, egzemplarze podpisane przez W. Berenta i St. Ostoję-Chrostowskiego . . . . . 6 zł.

Dla prenumeratorów „Pionu” — także egzemplarze . . . . . 4 zł.

### Subskrypcja przedłużona będzie tylko do dnia 23 grudnia r. b.

Po zamknięciu Subskrypcji i wydrukowaniu tomu, nieobjęte subskrypcją egzemplarze będą do nabycia w księgarniach po cenie:

za egzemplarz na papierze zwykłym . . . . . 2 zł.

za egzemplarz bibliofilski . . . . . 9 zł.

Prenumeratę wpłacać można:

czekiem na P. K. O. na konto Warszawa nr. 18590,  
w administracji „Pionu” (Aleje Róż 2)  
oraz w Salonie Sztuki Garlińskiego (Mazowiecka 8).

# WYSTAWA PLASTYKÓW-LEGJONISTÓW

## W INSTYTUCIE PROPAGANDY SZTUKI



Tadeusz Pruszkowski Portret Marszałka

Wystawa Koła Plastyków Legionowego Instytutu Studiów jest zjawiskiem zgoła osobliwym. Nie można jej podciągnąć pod żaden strychulec gatunkowy zwykle organizowanych wystaw czy „salonów”.

Nie jest to, zw. wystawa bieżąca, skoro gromadzi prace powstałe w różnych latach na przestrzeni okresu bezmała dwudziestoletniego, nie jest to wystawa kierunkowa jakiejś grupy artystycznej związanej jednakowo czy podobnym podejściem do sztuki, skoro wystawia na niej i Wojciech Jastrzębowski i Władysław Roguski, i Stefan Filipkiewicz, i Tadeusz Pruszkowski i Józef Ryszkiewicz, i bardzo wielu innych, tak bardzo różnych, odmiennych malarzy. Nie jest wreszcie ta wystawa tematową, nie jest zgromadzeniem obrazów i rzeźb związanych z legionową batalistyką.

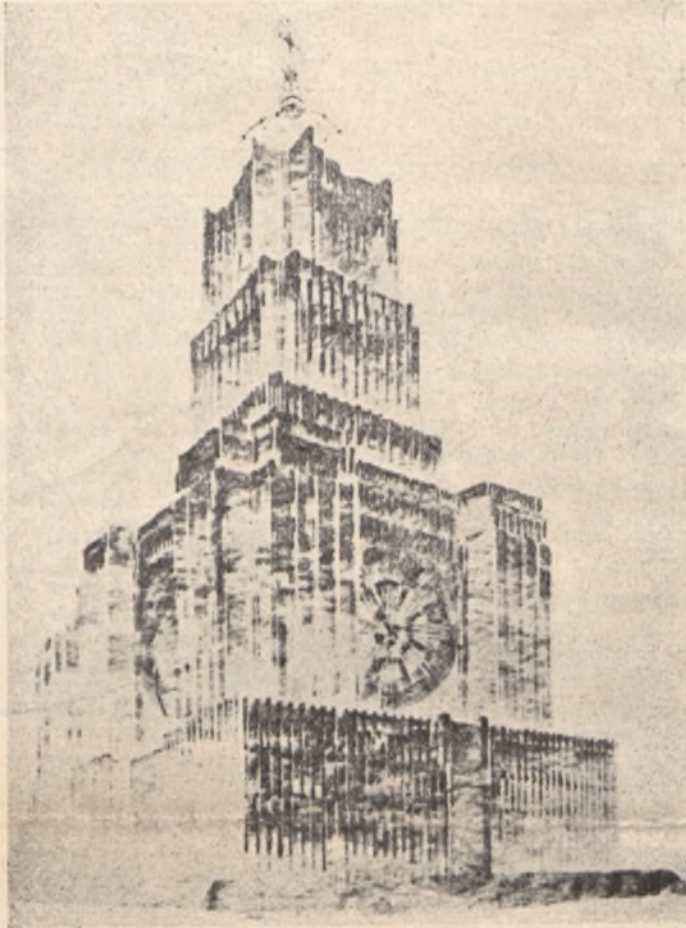
Ale nie jest to również, jakby się wydawać mogło, zupełnie przypadkowe nagroma-

„Spójnię zrzeszonych stanowi tu więź inna (nie estetyczna) historyczna, a mianowicie pamięć chwili jedynej, w której ludzie ci, porzuciwszy swe warsztaty, poniechawszy swych marzeń artystycznych stanęli z bronią w ręku do walki za Ojczyznę”.

To, zdaje się, jest już zbyt uproszczeniem zagadnienia. Tak sformułowana podstawa historyczna byłaby zupełnie wystarczająca do wytłumaczenia jakiegokolwiek przeglą-

mentów ruchu i tych wszystkich cech wewnętrznych, jakie łączyły ludzi, poza chwilą historyczną, we wspólnym obozie Polski walczącej.

Zresztą cechy wspólne, łączące ludzi, którzy znaleźli się w szeregach legionowych, a więc i plastyków legionowych, nie określały bynajmniej ich sztuki. Te rzeczy nie łączą się integralnie. Jakże często naprzykład artysta o tendencjach nowatorskich, postę-



Bohdan Pniewski Projekt Kościoła Opatrzności w Warszawie



Kazimierz Młodzianowski Autoportret

między ogólną postawą wobec życia a uprawianą sztuką.

Jednak z tej ideowej wobec życia postawy plastyków legionistów, a plastycy w ruchu legionowym zajmowali wybitne miejsca, wynikają i pewne konsekwencje w ich stosunku do własnej sztuki. Na wystawie legionowej, w tak różnej skali talentów i możliwości artystycznych, wysuwa się na plan pierwszy we wszystkich niemal pracach rzetelny, uczciwy, szczerzy stosunek do własnej twórczości, na miarę, oczywiście, talentu, zdolności oka i ręki. Ten ton dominujący, — dysonansów, na szczęście, jest niewiele, — już jest dostatecznym usprawiedliwieniem założenia samej wystawy.

Ale te, tu podkreślone momenty, stano-



Leopold Gotlieb Dobosz

dzenie obrazów i projektów. Istniejąca tu przypadkowość jest bodaj mniejsza, mniej jaskrawa, niż na dorocznych salonach, które również gromadzą artystów, niezwiązanych jednakowo podejściem do sztuki.

Podstawa, wspólna platforma, na której powstało Koło Plastyków Legionistów — jest platformą pozaartystyczną wprawdzie, ale nie pozaideową. I właśnie to, zdaniem piszącego te słowa, stanowi pewien urok tej wystawy, nadaje jej pewien sens, stwarza pewną jej wartość, ale również konieczność zupełnie odrębnego do niej podejścia zarówno ze strony krytyka jak i widza.

We wstępie do katalogu wystawy pisze Kaden-Banarowski, że:

dowej wystawy dajmy na to kombatantów niemieckich, francuskich czy włoskich. W stosunku do naszej wystawy wydaje się zbyt ogólnikowa, zbyt wąska. Bo nie podkreśla, ani nie określa specjalnego ideowego zabarwienia tego łączącego momentu historycznego, nie precyzuje swej ideowej, pozaartystycznej wprawdzie, wspólnej platformy tych ludzi, pierwiastków sprzeciwu, buntu, wiary, entuzjazmu i odrębnego, niż w normalnej wojnie, ryzyka, — słowem tych wszystkich mo-

powych, radykalnych — okazuje w życiu, wobec innych zagadnień: społecznych czy politycznych, skrajny konserwatyzm lub zupełny indyferentyzm, jak często również konserwatysta czy wstecznik w życiu bywa skrajnie radykalny w swych poglądach na sztukę. Jedynie tylko w dziedzinie architektury, ze względu na jej bezpośrednie związanie i ścisłą zależność od wszelkich przejawów życia społecznego, daje się zauważyć dość wyraźny paralelizm, współzależność



Jerzy Winiarz

Port Piratów



Wilhelm Wilk-Wyrwiński Szkic

więcej wartość i sens wystawy, nie ułatwiają bynajmniej pisanie o niej. Nie można bowiem stosować do niej żadnych mniej więcej jednolitych kryteriów. Zestawienia i porównania, wysnuwania z tych porównań wniosków — byłoby tu najfatalniejszą i najmniej celową metodą. Niewystawiający na wystawie architekt Kazimierz Sosnkowski czy malarz Rydz-Śmigły, który z rozproszonego w czasach wojny swego dorobku artystycznego nic uratować nie zdołał, lub wystawiający malarze: Zamorski czy Jarnuszkiewicz — zajmujący w hierarchii wojskowej tak odpowiedzialne, kierownicze stanowiska, nie mogą dziś, jeśli nawet malują albo rysują, traktować swego artystycznego rzemio-



Józef Ryszkiewicz-Świrysz Marszałek

sła zawodowo. Pierwiastki twórcze, tkwiące w ich naturze, przekuli na narzędzia innej pracy, przenieść musieli w inne dziedziny działania. Dwaj ostatni zaprezentowali się sejmami dobrych rysunków i akwarel, ale dziś trudno przewidzieć, jakimi drogami poszłyby ich twórczość artystyczna, gdyby służby sztuce nie poświęcili dla innej, równie wzniosłej służby.

Z malarzy legionistów, którzy w walkach o wolność znaleźli śmierć na polu chwały, lub którzy odeszli od nas już w czasie Polski Niepodległej wyróżnia się twór-



Stanisław Popławski Głowa dziewczyny

część Koniecznego, Wyrwińskiego, Sarmata-Szyszlowski, Stefanowicza, zatrzymują oko widza breughelowskim czarem owiani „Ulani” Dunina-Borkowskiego, bardzo ciekawy autoportret Dąbrowy-Młodzianowskiego, interesująco zarysowująca się indywidualność Jerzego Winiarza. Słabo reprezentowany Rembowski, wyrasta, oczywiście, ponad skalę.

Prace nieżyjących są jednak zgromadzone dość dorywczo, brakuje i dzieł wielu i wielu nazwisk. Sądzę, iż wartoby pomyśleć o osobnej wystawie ich twórczości poświę-



Włodzimierz Konieczny Matka

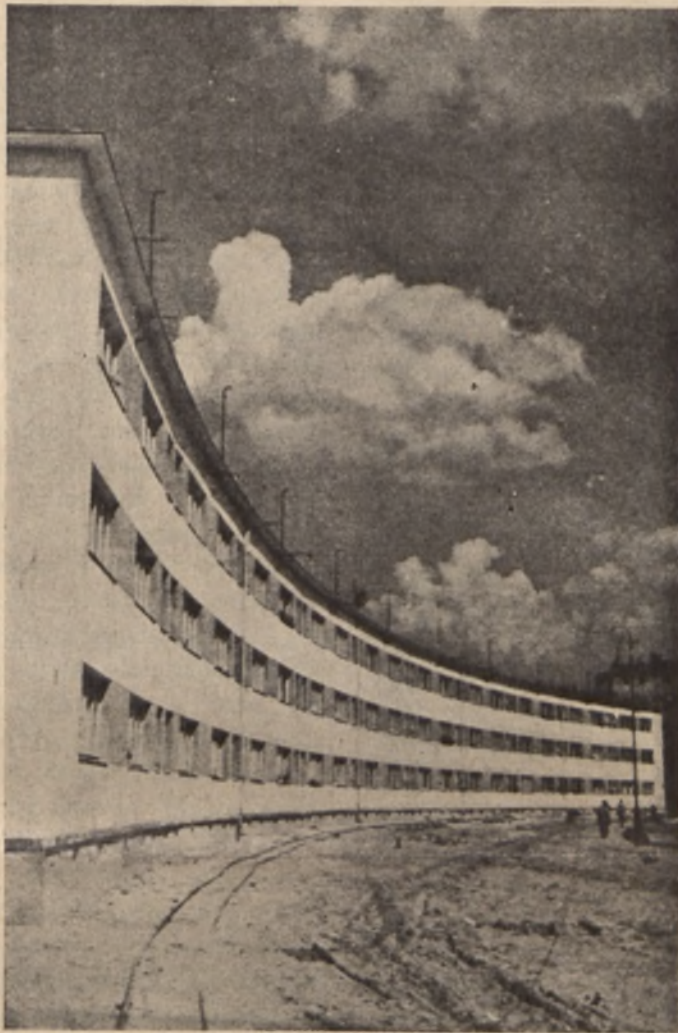
conej, na której zgromadziłyby się dało wiele mało znanych lub zupełnie nieznanymi prac, rozproszonych po domach prywatnych. Wystawa taka pozwoliłaby te rzeczy zintegrować, dałaby podstawę do opracowania twórczości tych tak ciekawych często artystów. Sądzę, że zorganizowanie oddzielnej takiej wystawy powinno się znaleźć na pierwszym miejscu aktualnych zamierzeń Koła Plastyków Legionowego Instytutu Studiów.

Wśród żyjących trudno wymagać od sprawozdawcy wymieniania nazwisk, zwłaszcza, że opierać się trzeba na materiały wystawionym. Niektórzy z wybitnych malarzy reprezentowani są przez dwie lub trzy dawniej-

dużą dojrzałość i kulturę artystyczną, dalej dobre, naturalistycznie traktowane popiersie Tadeusza Holówki przez Strynkiewicza, szarmonizowany, spokojny, dekoracyjnie traktowany „Jan z Kolna” Żurakowskiego i dwie rzeźby Golińskiego.

Działem o zupełnie wyraźnym obliczu ideowo-artystycznym jest dział architektury. Architekci-legioniści reprezentują niemal wyłącznie kierunek nowoczesny, modernizm, jeśli kto lubi ten niezbyt sprecyzowany termin, ale modernizm zdrowy, pozbawiony pozy i tak częstego snobizmu.

Jest tu dość szarmonizowana linja, którą utrzymuje jedenastu wystawców tego działu: Brukalscy, Chmielewski, Gawlik, Filipkow-



Barbara Brukalska Stanisław Brukalski

Dom mieszkalny W. S. M. na Żoliborzu VII Kol.

skie prace nie charakteryzujące ich obecnej twórczości. Przy omawianiu trzeba by sięgać do materiałów pozawystawowych i na nich się opierać, co, oczywiście, przekreśliłoby ramy sprawozdania. Na podstawie materiału wystawowego nie sposób mówić o Wyczółkowski, Gottlieb, Roguski, Filipkiewicz, Pruszkowski i innych.

W dziale rzeźby wyróżnia się doskonała „Głowa” Popławskiego, rzeźba ujawniająca

ski, Goliński, Jankowski, Jastrzębowski, Nowakowski (niepotrzebnie wystawił dawne swe prace dla KOP-u), Piotrowski, Jerzy Sosnkowski, Żurakowski, Pniewski.

O ciekawych projektach rozwiązań urbanistycznych, jakie znalazły się na wystawie będziemy mieli jeszcze sposobność wspomnieć przy innej okazji.

Zorganizowanie wystawy obejmującej prace z tak długiego chronologicznie okre-



Tadeusz Nowakowski

Gimnazjum Państwowe



Aleksander Żurakowski Jan z Kolna

su i tak różnorodne, jeśli chodzi o kierunki artystyczne, nie było rzeczą ani łatwą ani bezpieczną. Uniknięcie dysonansów przy rozmieszczeniu obrazów wymagało nielada taktu artystycznego i nielada wysiłków, tembardziej, że sale Ipsu nie stwarzają bynajmniej idealnych warunków wystawowych zwłaszcza dla wystaw mieszanych.

To też bezwzględnie dodatnie wrażenie



Franciszek Strynkiewicz Popiersie ś. p. Tadeusza Holówki

jakie sprawia całość tej ciekawej wystawy, jest w dużej mierze zasługą Sekcji plastyków Legionowego Inst. Studiów, któremu przewodniczy art. mal. Stefan Modzelewski oraz Komitetu wystawy, na którego czele stał Józef Ryszkiewicz.

W pierwszym udanym zewnętrznym wystąpieniu Koła Plastyków Legionowego Instytutu Studiów pragnęlibyśmy widzieć zapowiedź jak najbardziej ożywionej i celowej pracy tego Koła.

Antoni Wiczorkiewicz.



W. Roguski

U Źródła

OLGIERD GÓRKA

## „OGNIEM I MIECZEM” A RZEC

## III. KNIAZ JAREMA

Zanim w artykule, zamykającym poruszone przeze mnie spostrzeżenia, będę mógł dać wyraz pogładowi na strukturę Trylogji, sprawę „Potopu” a „Ogniem i Mieczem” i t. d., zanim będę mógł odpowiedzieć na zarzuty — podnoszone w zlej lub nawet dobrej wierze — „napaści na Sienkiewicza”, czy też jego Trylogję (!?), oraz sprecyzować te nastawienia wobec twórczości Sienkiewicza, które przecież można było wyczuć z niektórych wyrażań pierwszego artykułu (Nr. 3 „Pionu”) — zmuszony jestem zająć się sprawą esencjonalną dla „Ogniem i Mieczem”, t. j. naczelną postacią ideową tej powieści Jeremim Wiśniowieckim.

Wskutek pewnej techniki swej pracy, której potem wyzbył się Sienkiewicz, zlekceważył on w momencie pisania swych odcinków do „Słowa” i „Czasu” te ostrzeżenia ówczesnej poważnej historjografji, jakie podnieśli Szajnocha i Szujski w odniesieniu do osoby kniazia Jaremy. Poszedł też w pierwszym impecie, a przez fatalne nieporozumienie, wyłącznie za drogowskazem Kubali, by samemu potem z kolei stać się przemożnym wręcz drogowskazem nietylko dla polskiego odczuwania tych czasów, ludzi i idei, ale nawet dla całej odnośnej historjografji polskiej.

Oczywiście nie jest mi możliwym danie na obecnem miejscu szczegółowej rozprawy o Jeremim Wiśniowieckim. Z natury rzeczy ograniczyć się muszę do rzucenia kilku, naogół nieznanych, faktów i obserwacji o tyle tylko, o ile są one konieczne dla wykazania tego „odwrócenia obrazu” historycznego, jaki ma miejsce w „Ogniem i Mieczem”.

„Kniaz Jarema” — to jedno tylko w jego nomenklaturach było prawdą. Bo gdy zwie siebie oficjalnie (np. 29-go IX. 1648) Jeremi Michał Korybut, książę na Wiśniowcu i na Łubniach, wielki Hetman Koronny, starosta Kaniowski i t. d., to wszystko poza imieniem chrzestnem i kniazostwem Wiśniowieckich było fałszem, lub uzurpacją. Ku zmartwieniu wszystkich naszych rasistów trzeba stwierdzić, że nie miał on w sobie ani kropli krwi polskiej. Byłoby to zresztą nawet bez poważniejszego znaczenia wobec faktu więcej mówiącego, że był wychowankiem nastrojów, stosunków i kultury kozacko-schyzmatycznej, porzucił bowiem schyzmę dla kariery już jako dorosły człowiek.

Ciekawem jednak jest, że to właśnie pochodzenia Wiśniowieckiego, pół ruskie, a pół wołoskie, czy rumuńskie, wydało szczególną mieszaninę cech charakteru, zupełnie rozbieżną z przeciętnym typem polskich magnatów i warcholów „pod który to typ historycy, krytycznie nań patrzący, starali się go podciągnąć. Jeremi Wiśniowiecki bowiem był konglomeratem podstępного rabusia, groźnego przy korzystnym zbiegu okoliczności napastnika, równocześnie zaś zdecydowanego tchórza wobec poważnego niebezpieczeństwa i możliwości poważnej walki. Równocześnie jest on pierwszorzędnym graczem na terenie głupoty masy szlacheckiej, mistrzem zarówno autoreklamy, jak kalumnjowania przeciwników, inspiratorem zarówno pamfletów, jak panegiryków. Żaden szczegół może nie oddaje tak znakomicie psychiki Jaremy, jak jego wyprawa do Zaloziec z całym swym dworem pod pretekstem na-

wiedzenia ciała zmarłego kuzyna (fakt nieznanego jego historjografom), po to, by po wzruszeniach pogrzebowych z miejsca obrabować wdowę Eufrozynę z Tarnowskich z wszystkich kosztowności i gotówki (por. Łoziński „Prawem i lewem” I. str. 71). Specjalnością bowiem wypadów Wiśniowieckiego na tle ówczesnych stosunków było obrabowanie wdów i sierot pod rozmaitemi pretekstami, czy to będzie chodziło o Nikoryczyne, czy o Tyszkiewiczową, zalewającą się łzami i skargami po całej Polsce, czy o Helenę Lwową (Arch. J. Z. Ros. III/4, 452). Szczegóły te — poza sprawą Tyszkiewiczową — pomijane są również przez historjografję. Jeśli Wiśniowiecki ma do czynienia z poważnym przeciwnikiem, jak np. w sprawie dóbr rumnieńskich z Kazanowskim, idzie po zdobyciu podstępem, wprowadza swych ludzi na zamek pod pretekstem przyjacielskich odwiedzin, podczas gdy dla odmiany w sprawie Hadziacza z chorążym Koniecpolskim — uderza wprost.

Przytaczam te naogół niepodnoszone szczegóły tylko przykładowo, chociaż możnaby toмами opisywać zbrodnie tego jednego z najpodstępniejszych ludzi ówczesnej Polski, umięjącego jednak równocześnie grozić wprost zbrodnią na samym królu (por. art. I-szy i Zbiór Pam. Hist. V, 59), jeśli liczył na skutek. Jakże stosunkowo mniej — w porównaniu z Jaremą — miał na sumieniu Samuel Zborowski, gdy głowa jego spadła tak słusznie pod mieczem katowskim, jako symbol niemal, że Polska jeszcze w XVI w. umiała się nietylko zewnątrz, ale także wewnątrz bronić przed zarodkami śmierci. Jeśli głowa Jaremy nie padła wtenczas w Warszawie dnia 20 maja 1647, było to dowodem, że choroba wewnętrzna stawała się nieuleczalną.

Jakiemże bowiem prawem dziwi się nasza historjografja niechęci Jana Kazimierza do Jeremiego Wiśniowieckiego? Wszak Jan Kazimierz, jako królewicz, był właśnie wówczas przewodniczącym komisji senackiej, która potem musiała jeszcze godzić zbrodniczego magnata z przeciwnikami. Musiał więc słusznie stać się Jarema dla króla Jana Kazimierza, nienawidzącego go do głębi, symbolem rozkładu i tej anarchji Państwa Polskiego, z którą potem podejmie, bezskuteczną zresztą, próbę walki dla ratowania Rzplitej przed tak jasno i dokładnie przez siebie przewidzianym rozbiorem.

Z natury rzeczy muszę streszczać swe wywody, podając tylko momenty niestalone naukowo przez historjografję. A więc — fakt naczelnny: klęska wojsk koronnych pod Korsuniem, dostanie się hetmanów do niewoli tatarskiej, a w rezultacie rozpętanie się całej burzy kozackiej, było możliwym tylko wskutek zdradzieckiej zmywy Wiśniowieckiego z Chmielnickim! To zaś naprzykład jest „szczegółem” nieznanym nauce polskiej!

Chociaż już 3 maja r. 1648 hetman Potocki, wiedząc o niebezpieczeństwie, w jakim syn jego się znajduje, nagwałt ściąga posilki panów polskich, chociaż 12 maja wola z przerażeniem, że „actum est de Republica”, chociaż wszyscy inni dalej stojący, jak Zasławski, Koniecpolski, Lubomirski, a oczywiście także Kisiel, pospieszyli wówczas z pomocą, jeden tylko

Wiśniowiecki, stojący do 26 maja (t. j. do daty klęski pod Korsuniem) kilka tygodni o 3 do 5 dni drogi od Potockiego, świadomie i na podstawie zmywy z Chmielnickim, dopuszcza do katastrofy!

Wiśniowiecki wiedział znakomicie, że Chmielnicki ciągnie tylko na dwóch jego osobistych wrogów, a to w pierwszej linii przeciw chorążemu Koniecpolskiemu, patronowi Czaplńskiego, a w drugiej — przeciw zupełnie zresztą bezwartościowemu hetmanowi w. kor. Mikołajowi Potockiemu. Liczył Wiśniowiecki ze zwykłą swoją podstępnością, że Chmielnicki poderwie na Ukrainie prawobrzeżnej Koniecpolskiego i Potockiego, a wówczas on, Jarema, wyrośnie wbrew interesom Rzeczypospolitej na to, o czym marzył całe swe życie, a mianowicie, na tę samodzielną siłę wojskową i polityczną na lewobrzeżnej Ukrainie. Chmielnicki, aż zbyt jaskrawo, wyraził mu swą wdzięczność za to zdradzieckie spowodowanie klęski wojsk kwarcianych pod Korsuniem, wiedział bowiem, że Wiśniowiecki, stojący tuż obok, dysponował siłą liczebnie większą, niż, po wydzieleniu wojsk swego syna — sam hetman. Zapewnił więc kniaziovi Jaremie Chmielnicki nienaruszalność jego dóbr i — jak sam na to później narzekał — wypuścił go z Zadnieprza, obsypawszy go listami i hojnemi darami z wdzięczności za Korsuń („posyłał do X. IMci, p. Wojewody ruskiego s pisaniem y trzech koni posłał mu tureckich, dziękując zato, że nie posilkował hetmanów”. Zap. Tow. Szewcz. t. 144, 215). Sam chan, jako wielki prezent, posyłał Wiśniowieckiemu tylko jednego konia... Pozostały jednak dane charakterystyczniejsze! Już dawno trawa porosła groby żołnierzy polskich z pod Żółtych Wód i Korsunia, gdy Chmielnicki, który za zdradę korsuńską zagwarantował Wiśniowieckiemu całość jego dóbr, na wiadomość, że tak znane z „Ogniem i Mieczem” Lubnie, siedziba Jaremy, pustoszone są przez rozzuchwalonych ucieczką Wiśniowieckiego chłopów, wysłał tam kozacką ekspedycję karną. Dwóch hersztów chłopskich kazał Chmielnicki ściąć, a „dwóch albo trzech” posłał jako jeńców daleko na Polesie za zbiegłym Wiśniowieckim (Rel. ks. Łaska. Szajnocha: Dwa lata. Dod. str. 440), dając dowód, że jest solidnym kontrahentem. Drobniejsze szczegóły, stwierdzające, że klęska korsuńska tylko przez zmywę Chmielnickiego z Wiśniowieckim była możliwa — dziś na tem miejscu pomijam.

Rozmiary i skutki klęski korsuńskiej (26. V. 1648) przekreśliły jednak wszystkie przewidywania Wiśniowieckiego. Przedewszystkiem nastąpił fakt — nieznanym nauce polskiej, — że na wieść o Korsuniu wojska kniazia Jaremy, liczniejšie od wojsk hetmanów, w lwiej swej części rozbiegły się (co zresztą stałe będzie mu się wydarzać), lub przeszły nawet nie do Kozaków, ale wprost do Tatarów. Jednemu bowiem tylko Wiśniowieckiemu wydarzyło się, że np. cała chorągiew dragonów z „kapitanem” na czele (a więc jakimś prawdziwym człowiekiem, wykonującym dowództwo fikcyjnego Wołodyjowskiego), uciekła wprost do Tatarów na służbę w Ordzie (zob. wg. Zbiorów Rusieckich u Lipińskiego: Z dziej. Ukr., 213). Z wszystkich listów, pisanych z ówczesnej Ukrainy (m. inn. z listów Kisiela, oraz własnego listu Wiśniowieckiego o pozostaniu przy nim „garści” ludzi) jest zupełnie pewne, że przerażony

nieprzewidzanymi rozmiarami ruchu, jaki się rozpętał po Korsuniu, oraz zbiegostwem swych wojsk, Jarema ucieka z resztą chorągwi husarskich i polskiego, oraz niemieckiego elementu żołnierskiego, ku swym dobrom na dalekim Polesiu.

Poprostu serce boli, ale trzeba przecież stwierdzić, że ten cudownie przez Sienkiewicza opisany przymusowy odwrót Wiśniowieckiego z Zadnieprza, który się doczekał niemal studjów wojskowo-taktycznych w historjografji, był zapłatą, wymierzoną przez Nemezis dziejową zdradzieckiemu kniaziovi za Korsuń. Odwrót ten, — a ściślej mówiąc ucieczka, — odbył się w formie w każdym razie nie polsko-epickiej, bo wspólnie z pięciuset rodzinami Żydów — najstraszniej dotkniętych przewrotem r. 1648, — których Jarema uprowadzał z sobą ku Polsce. „I niósł ich (Żydów) jakby na skrzydłach orlich, aż ich przyprowadził dokąd chcieli” (dosł. cyt. współ. kroniki hebr.; zob. niżej). Równocześnie rozgrywała się tragedia. Nieliczna część szlachty ukraińskiej tych stron, która zresztą przeważnie poszła za Chmielnickim, broniła się do upadłego w Czernihowie, umożliwiając tem właśnie ucieczkę taborów Wiśniowieckiego, które chłopci zadnieprzańscy ścigali na własną rękę. Czernihów, którego oczywiście Wiśniowiecki nie wsparł, padł po trzytygodniowej obronie, spełniając tem tak swą rolę, że nawet panegirzysta Wiśniowieckiego musiał zaznaczyć: „by nie ten Czernihów, nabrałby się książę z księżną strachu”.

Streszczając się coraz bardziej, trzeba stwierdzić, że nieprawdą jest, by Wiśniowiecki od początku był za walką z Chmielnickim; — przeciwnie: starał się on układem łaszeniem się przed Ossolińskim i t. d. uzyskać i pochwytać władzę wojskową po wziętym do niewoli Potockim. Dopiero w przeszło dwa miesiące po wybuchu buntu Chmielnickiego, na ostateczną wiadomość, że — oczywiście najzupełniej słusznie — pominięto go w regimentarstwie wojsk, zmienia front i, oparłszy się o pozytywne siły księcia Dominika Zasławskiego i gwardji królewskiej, — rzuca się na zupełnie bezcelowe i przerażające w swej ohydzie i okrucieństwie tępienie słabszych watach chłopskich. Znowu trzeba powiedzieć językiem Bohuna: „aż serce bolyt”. Bo jest to okres najpiękniejszych Sienkiewiczowskich opisów, którym również autor tych słów zawdzięcza swe najsiłniejsze przeżycia, jakie może dać literatura.

Dla przeciwstawienia tych dwóch światów, o których pisałem w pierwszym i drugim artykule (Nr. 3 i 9 „Pionu”), muszę było postępować w tych czasach. Zamiast bezcelowego wbijania słabych na pal, stylem Wiśniowieckiego, znowu nie kto inny, tylko tenże Kisiel w samymże Kijowie, już po Zborowie, mimo największego niebezpieczeństwa swego życia, a na oczach czerni, obliczanej przesadnie na 20.000, każe dla przykładu ścinać mieczem katowskim Rzeczypospolitej kozackich morderców szlachty (Michalowski: Ks. pam. 522). Wszystkie bowiem rzeczy i ludzie, łącznie z napomkniętą kwestją żydowską, miały w tych czasach równocześnie swą stronę nieczemną i przepiękną. Skoro Sienkiewicz poruszył losy książąt Czetwertyńskich, to dla naprowadzonego obrazu dwóch światów przytoczę, że gdy chłopcy zagrozili siedzibie tulczyńskich kniaziovi,

# ECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA

to zażądali przede wszystkim wydania Żydów, obiecując wzajemnie bezpieczeństwo ich zamku. Książę na Tulecynie wydał Kozaków Żydów na rzeź, by dla odmiany doczekać się po ich wydaniu, że jego zamordowano w ten sam sposób, z koczakami ironicznie umotywowaniem o takim dotrzymaniu przez nich układów, jak on ich dotrzymał Żydom.

Jakże znowu inaczej postępował król i jego świat, oraz te wspomniane przeze mnie chamy miejskie!

Motywy odpowiedzi rajców miejskich Lwowa, odmawiających bezwzględnie Chmielnickiemu oddania Żydów na rzeź, należą dla odmiany do dokumentów tej szlachetnej rzetelności, jakimi się niemal żaden naród w XVII wieku poszczycić nie może.

Uniwersal króla z wielką pieczęcią kanclerza, zezwalający na powrót do swej religii Żydom ochrzczonym przemocą, wydany w roku 1650, należy do dokumentów wzniosłej tolerancji, właśnie ze strony tych, których historjografia polska, nie wyłączając szkoły krakowskiej, pokrzywdziła zarzutem katolickiej nietolerancji. Nie rozumiała bowiem nasza historjografia, że ten niepospolity Ossoliński chciał z katolicyzmu zrobić w Polsce siłę konstruktywną, rozumiejąc, że katolicyzm w polityce wewnętrznej — to przede wszystkim dyscyplina, a w polityce zewnętrznej — to uzgodnienie ówczesnych interesów Państwa Polskiego z ogólnymi dążeniami chrześcijaństwa i katolicyzmu.

Podniesienie tego ostatniego momentu u ostatnich dwóch Wazów i u Ossolińskiego było koniecznym, by czytający ogół polski zrozumiał, dlaczego na terenie ideologii polskiej jest „Ogniem i Mieczem” tak samo „odwróconym obrazem”, jak na terenie zagadnienia i możliwości ukraińskich. Sienkiewicz czuł, jako człowiek i artysta, że w ówczesnej Polsce musiała jednak istnieć jakaś szersza, ogólniejsza ideologia. Wyczuł ją nawet zgodnie z rzeczywistością, jako ideologię walki z pochańcami, politykę uderzenia na Krym, a nawet Turcję, czyli — mówiąc jego własnymi słowami, — jako marzenia „o zatknięciu krzyża tam, gdzie dotąd nigdy dzwony wiernych na modlitwy nie wzywały” (wyd. Ossol. I, 303). Nie wiedział jednak Sienkiewicz, wkładając te marzenia w przepiękną scenę łamania się Wiśniowieckiego ze sobą, że właśnie w tym momencie — dla strony ideowej zasadniczym — czyni taką pomyłkę, jak gdyby w powieści o rewolucji francuskiej kazał marzyć np. Robespierrowi o wyratowaniu wszystkich uwięzionych arystokratów francuskich. Wyprawa na Krym, idea uzgodnienia najoczywistszych interesów polskich na południowym Wschodzie z nastrojami chrześcijaństwa i katolicyzmu, była właśnie tą ideą, którą zwalczał z wszech sil, zarówno przed buntem, jak w czasie buntu kozackiego, — książę Jarema (por. nawet m. inn. Tomkiewicz „Jeremi Wiśniowiecki” str. 159). Książę Jarema bowiem wiedział, że realizacja tak wszechstronnie słusznych planów, o których uczynienie zabiegał Ossoliński zarówno za Władysława IV, jak Jana Kazimierza, to wzmocnienie Polski, wzmocnienie władzy króla, osadzenie na właściwej linii Kozaczyzny, a pozatem przemarsze, pochody i rekwizycje wojsk polskich i obcych w jego własnych dobrach, podczas gdy on uznawał tylko łupienie cudzych dóbr. Runęło jednak tym

czasem jak domek z kart, bez jednego strzału obrony, mimo protekcji i obrony Chmielnickiego, zadnieprzańskie państwo Wiśniowieckiego, które — jak cała zresztą ówczesna kolonizacja Ukrainy, — będąc w gruncie rzeczy przetasowywaniem schyzmatyków między sobą, było narodowo bezużyteczne, a państwowo szkodliwym balastem, o pewnej, wątpliwej zresztą, korzyści ekonomicznej.

Ważniejszym od tego zagadnienia (jeśli będziemy jeszcze pozostawać przy kwestiach etnograficznych), musi być dla naszej sprawy apoteozowanie Jaremy, — inny moment: haniebne okradzenie Lwowa ze środków obrony i wojska właśnie przez Wiśniowieckiego, któremu Lwów swą obronę powierzył. Mogło ono za prawdę stać się katastrofą już nie państwa polskiego XVII wieku, ale dziejów narodu polskiego na wieki wieków, gdyby był plebs miejski tej lwowskiej reduty swej bohaterkiej roli nie spełnił. Jasnym jest bowiem, że jedna baszta lwowska była więcej warta, niż dziesięć głów Wiśniowieckiego. Wszyscy przecie rozumiemy, że gdyby jądro Kozaczyzny było się wówczas osadziło we Lwowie, a nie w dalekim Czernyhu, losy narodu polskiego byłyby straciły zasadnicze warunki swej wielkości. Niech więc się nikt nie dziwi, że rozrachunek z Jaremą winien był być zrobiony „cum ira”.

Pomijam dla ram artykułu wszystkie inne momenty działalności Wiśniowieckiego, stwierdzające zgodnie skrajną i symbolizującą niemal ujemność tej postaci. Wspomnieć muszę z konieczności, wobec skłminowania sprawy w „Ogniem i Mieczem” na Zbarażu, tylko o tym jednym szczególe. Gdyby Zbaraż Kubali i Sienkiewicz, sam jeden tylko, był prawdą, mogłyby Jarema być darowane wszystkie jego winy. Czyż tak jednak było rzeczywiście? Lat temu przeszło 50 powiedział sobie Kubala bez żadnych dowodów, a raczej wbrew wszelkim źródłom: „wszyscy regimentarze do prostego żołnierza, w nim (Wiśniowieckim) najwyższego wodza widzieli i biada temu, kto by się śmiał sprzeciwić” (Szk. Hist. I, 76). Rzeczywiście groźba poskutkowa! Oto po dzień dzisiejszy nie odważyła się historjografia polska stwierdzić oczywistego faktu, że nie Wiśniowiecki był najwyższym wodzem w Zbarażu, lecz że „najpierwszym pod Zbarażem wojsk Rzeczypospolitej wodzem” był Andrzej Firlej (Michałowski, Ks. Pam. 80), pełniący funkcje hetmana wielkiego, że jego zastępcą był Stanisław Lanckoroński, pełniący funkcje hetmana polnego, i że trzecim nawet zrzędu wodzem był Ostroróg. Wszyscy ci regimentarze stali na czele silnych dywizyj po kilkanaście chorągwi i oddziałów pomocniczych. Obok nich dużymi siłami rozporządzał pod ich rozkazami chorąży Konecpolski, najmniej zaś miał tam znaczenia Wiśniowiecki, dysponujący dwoma chorągwiami bratanków i ca 1000 piechoty, przesłanej regimentarzom przez Zamoyjskich. Zgodnie z tym stanem rzeczy, w przeciwstawieniu do regimentarzy, Przyjemskiego, Rozrażewskiego i t. d., Wiśniowiecki dostaje pod Zbarażem najspokojniejszy odcinek w kacie prawego skrzydła, naprzeciw Tatarów, którzy nie brali udziału w walkach okopowych, jako specjalności Kozaków, gorszych znów od nich w walkach w otwartym polu. Prawdziwa, heroiczna sława Zbaraża — to nie książę Jarema, — to bohaterki, — to stoli-

nijny, a groźny dla wszystkich starzec Firlej, obok niego Ostroróg i znakomity Przyjemski, wraz z niewątpliwie odważnym, choć niespokojnym duchem — Konecpolskim.

Naogół istota wojskowa walk równoczesnych pod Zbarażem, Łojową na Litwie, a wreszcie pod Zborowem, jest w historjografii naszej nietknięta, nawet przez rozprawy cytowane przeze mnie (art. I) z ostatnich dwóch lat. Z cyfry wojsk kozacko-tatarskich pod Zbarażem, przyjmowanej poprzednio przez naszą naukę, np. przez Korzona, na 460.000, a przez ostatnie publikacje z roku 1933 — na 300.000, należy odrzucić na podstawie źródeł i osądu wojskowego 85%, względnie 80% — na przesadę. Chmielnicki dysponował pod Zbarażem nie więcej nad 50 do 60.000 ludzi — łącznie Kozaków i Tatarów, co zresztą stanowiło siłę bezwzględnie i względnie olbrzymią, skoro w poprzednim roku pod Lwowem i Zamociem mógł mieć najwyżej do 25.000 ludzi.

Chmielnicki znalazł się pod Zbarażem w sytuacji zdecydowanie ciężkiej wobec klęski Kozaków pod Łojową i nieprzewidzianie pośpiesznego marszu Jana Kazimierza. Uciekł się więc, jako wyjątkowo zdolny wódz, do manewru swego mistrza wojskowego — hetmana Żółkiewskiego, który go zastosował w bitwie pod Kluszyńcem. Zgodnie z przewidywaniami Arciszewskiego zostawił Chmielnicki tabor pod Zbarażem, a z wojskiem kozacko-tatarskim poszedł pod Zborów na króla. Obowiązkiem Zbarażczyków było, po zorganizowaniu się w sytuacji, uderzyć od razu na tyły Chmielnickiego, co rzeczywiście miało być dokonane, zresztą raczej zbyt późno (19. VIII). Wszystko jednak zepsuła grupa Wiśniowieckiego, którego siły były dotychczas najmniej zaangażowane. Jeden z jego podkomendnych źle wykonał rozkaz, sam zginął, wypad uniemożliwił (por. m. inn. ks. Fraj „Obr. Zbaraża”, 65), poczem oblężeni musieli dalej oczekiwać pomocy królewskiej. Ratunek przyszedł rzeczywiście, dzięki wypełnieniu swej roli przez króla, który też jeden jedyny, z tą przez siebie cenioną piechotą, stanął na wysokości zadania, bo Janusz Radziwiłł celowo i podstępnie nie wyzyskał swego zwycięstwa, a Zbarażczyków osłabiła na duchu spóźniona i nieudana próba. Niewątpliwie chwala i zasługa Zbaraża zostanie wiekopomną, bo wojsko polskie oparło się tam poraz pierwszy w okopach nawale kozacko-tatarskiej, tak jak pod Zborowem poraz pierwszy oparło się jej w otwartym polu. Wylącznie już osobistą zasługą Jana Kazimierza było, zgodnie z wyrażeniami źródeł, że Zborów nie stał się Piławcami.

Wiśniowiecki, wbrew inspiracjom dyjarjuszy jego dworzana, nigdy się nazewnątrz za wodza obrony zbarskiej nie podawał, ani nikt go nigdy w korespondencjach wojskowych i t. d. za takiego nie uważał. Obok innych — słusznie wybitnie nagrodzonych — otrzymał starostwo. Zbaraż wyratował go natomiast z sytuacji, której się słusznie całe życie dla siebie obawiał, t. j. pozostania bez wojsk i pieniędzy, a która mu poprzednio groziła wobec możliwości, że bratankowie poszliby również bez niego bronić należącego do nich Zbaraża. Po Zbarażu wybija się istotnie Wiśniowiecki w szybkim tempie, ale dzięki czemu? — Poprzez konfederację wojskową w Lublinie, rzecz conajmniej tak nie-



KRÓL JAN KAZIMIERZ  
według sztychu Falcka

bezpieczną wówczas dla Polski, jak Kozacy! Nastroje tej konfederacji w czasie pokojowym spowodowały właśnie, że zdobył na krótki czas upragnione regimentarstwo.

Ostatnie stronicie „Ogniem i Mieczem” — to Beresteczko, gdzie to tak pięknie w bujnej fantazji Kubali, żywcem powtórzonej przez Sienkiewicza, — „książę Jeremi z gołą szablą w rękę, bez zbroi i bez czapki na głowie pędził jak w taniec” do boju (Szk. Hist. 185). Otóż: — zarówno ten szczegół, jak wogóle opis Beresteczka, skomponowany przez Kubalę, są jego tylko fantazją, w której nawet zasadnicze siły i zwycięscy nie są wymienieni. Natomiast faktem jest, że po ucieczce Tatarów i Chmielnickiego, Jan Kazimierz chciał wreszcie użyć samodzielnie osławionego Wiśniowieckiego i kazał mu wyjść w kilka tysięcy ludzi na tyły taboru kozackiego. Wiśniowiecki rozkazu tego nie usłuchał i zażądał powierzenia sobie 15.000 wojska. Wobec czego Zbarażczyk Lanckoroński z 2.000 ludzi wykonał z powodzeniem to zadanie.

Zmarł Jarema w czasie dalszego pochodu na Ukrainę, zjadłszy zbyt wiele ogórków, co przy jego ogromnym otłuszczeniu, stwierdzonem przy sekcji (por. m. inn. Tomkiewicz str. 377/8), stało się dlań śmiertelnem. Zapomnieli tylko jego historjografowie zaznaczyć w opisie tych wypadków, że to właśnie postępowanie Wiśniowieckiego po Beresteczku, przy buntowniczym odejściu pospolitego ruszenia, stało się powodem późniejszego odjazdu Jana Kazimierza od wojsk w czasie dalszego marszu na Ukrainę i że jego król wskazał, jako powód swej decyzji.

Ze względu na konstrukcję „Ogniem i Mieczem”, kilka jeszcze słów poświęcić muszę towarzyszom Wiśniowieckiego, oczywiście tym rzeczywistym, a nie powieściowym. Miała ówczesna Polska sporą ilość znakomych i słynnych żołnierzy, choć nieraz obarczonych mankamentami prawnymi lub politycznymi, jak to: Arciszewskiego, Grodzickich, Osieńskiego, Koryckiego, Przyjemskiego, Zbrożka, Pelkę, Korfa, Gize, czy i chociażby znakomitego zagończyka, a infamisa Sokola, nie mówiąc już o głośnym z odwagi i wyroków Łaszczu, a zwłaszcza o symbolicznym niemal Zaćwilichowskim. Żaden z nich jednak nigdy nigdzie nie służył, ani nie byłby służył u Jaremy, z wyjątkiem Sokola. Poza mniej zbadanym przeze mnie, a pobitym przez Tatarów, Baranowskim i, zdaje się, dobrym żołnierzem Woyniłłowiczem, najbliżsi ludzie Wiśniowieckiego, jego zastępcy i prawe ręce, to: podsędek

Kossakowski (infamias, za którym wstawia się Radziejowski) i porucznik Niezabitowski. Ten ostatni, zresztą potem senator, który wzorem swego pana napada na kobiety, a ucieka, gdy mężczyźni szabel dobywali (zob. „Prawem i Lewem“ I. 33/34) był złym duchem wojskowej konfederacji lubelskiej. Cała ta grupa skupiona dokoła Wiśniowieckiego, była jednak większym niebezpieczeństwem dla ówczesnej Polski, na terenach, gdzie nie było Kozaków i Tatarów, niż dla wrogów zewnętrznych, i nie dziw, że mało kto odważył się sarknąć na Jaremę. Napadają oni na prawo i lewo (np. w Lublinie mordują kilku pacholców miejskich), a nawet w Warszawie w czasie elekcji napadają i mordują ludzi samego interrexa-prymasa, za to, że nie chcieli ustąpić miejsca ich koniom, schodząc sami do błota (Mich. Ks. Pam. 340). Gdyby był jakimś dziwnym tchnieniem opisał Sienkiewicz towarzyszy Jaremy tak, jak przedstawił początkową kompanję Kmiciwa w „Potopie“, byłby powstał obraz równie plastyczny, a rzeczywisty i prawdziwie dydaktyczny. Niestety, Sienkiewicz z „Ogniem i Mieczem“ ani nie wiedział, ani nie przemyślał jeszcze tego, co Sienkiewicz z „Potopu“.

Pomijam tutaj spiski Jaremy z Rakoczymi, knute równorzędnie z Chmielnickim i Januszem Radziwiłłem, wystarczy tylko stwierdzić, że do fantazji Kubali należy jego twierdzenie, jakoby Wiśniowiecki był od początku zwolennikiem kandydatury Karola Wazy. Wiśniowiecki przeszedł na popieranie kandydatury Karola, prawdopodobnie za cenę otrzymanych od niego 50.000 talarów, dopiero po Lwowie i śmierci starego Rakoczego, a tymczasem tyle tysięcy dusz uczniów polskich boleje, że Jaremę za przedwczesny okrzyk „vivat Carolus rex“ tak ze szkodą dla Polski krzywdzono. Ten zaś właśnie moment, z lasów Polesia, rodzi w umysłach młodzieży te pierwsze załężki fałszywego nastawienia wobec polskiej rzeczywistości, że u nas „to tak zawsze“ — jak się mawia — intrygi „góry“ uniemożliwiają narodowi odpowiednie użycie tych, którzyby dopuszczeni do głosu zbawiliby Polskę ze wszystkich niedomagań i nieszczęść.

Niezaprzeczenie jednak Jeremi Wiśniowiecki był w narodzie szlacheckim ówczesnej Polski niesłychanie popularny. Istotnie bardzo duża ilość listów, wypowiedzeń, uchwał sejmikowych i t. d. wynosi pod niebiosa walory i zasługi tego człowieka, którego rola na sejmach i sejmikach była gorszą od Sicińskiego, zdradliwość i stosunek do Polski ujemniejszy, niż Janusza i Bogusława Radziwiłłów, którzy przy wszystkich grzechach byli przynajmniej zdecydowanie dobrymi żołnierzami, charakter stokroć marniejszy od Jerzego Lubomirskiego, a system gwałtu i rabunku godny słynnego „Djabła“ Stadnickiego. Powodów tego dziwnego stanu rzeczy jest szereg.

Przedewszystkiem w ówczesnej Polsce szlacheckiej, na ówczesnych sejmach i sejmikach jednostka dodatnia nie mogła być dobrze widziana. Ten sejm polski, który Żółkiewskiego obrzucał zarzutami tchórzostwa (luty 1618), który nienawidził Ossolińskiego, musiał w konsekwencji zachwycać się Wiśniowieckim. Podobnie to wojsko, czy raczej ogół jazdy, które się ciągle buntuje, lub zbiega, które potem chce swego hetmana Kalinowskiego wydać wrogom, garnął się na takich zlotach zbiegów z pola bitwy, jak we Lwowie, przedewszystkiem do osoby tego, który tym jej nastrojom odpowiadał. Wpływ i wziętość Wiśniowieckiego u szlachty i wojska była wyłącznie charakteru destrukcyjnego. Wie-

lokróć bowiem w interesie własnych, straconych dóbr i dla gromadzenia wojska w swem ręku, próbuje wpłynąć na szlachtę lub wojsko w zgodzie z interesami ogólnymi, wpływ jego okazuje się fikcją. Zawodzi np. ten wpływ, gdy raz i drugi szlachtę swego własnego województwa pod broń powołuje. Gdy zaś na dzień czy dwa przed Pilawcami (21.IX. 1648) jest faktycznie wodzem wojsk, nie znajduje śladu posłuchu tak dalece, że podobno nawet wycofuje się z obrazą. Gdy wreszcie pod Beresteczkiem nakłania pospolite ruszenie do dalszego marszu na Ukrainę, wpływ jego zawodzi całkowicie, co zresztą należy tłumaczyć rozwiązaniem długo skutecznej jego spółki z Hieronimem Radziejowskim.

Wpływowym jest jednak, gdy buntuje przeciwko państwu i władzy, gdy podburza zbiegów pilawieckich, gdy współpracuje z konfederacją wojskową, lub gdy wszystkich dodatnich ludzi obsypuje kalumniami i fabrykuje w swem otoczeniu fałszywe listy Chmielnickiego do króla i t. d. Popularnym jest wtenczas, gdy zbiera chorągwie, by po koronacji Jana Kazimierza, napaść i zamordować Ossolińskiego. Groźny starzec wyjechał jednak wówczas z Krakowa w karecie w otoczeniu 300 swoich muszkieterów, gotowych do strzału, a więc Wiśniowiecki, jak zwykle wobec możliwości ciężkiej walki, cofnął się.

Mimo tych wszystkich momentów pozostaje nadal ciekawym zagadnieniem, skąd się bierze ta przeważająca opinja, rozpowszechniana w listach szlacheckich, relacjach i t. d., że on jeden — Jeremi Wiśniowiecki — jest najznakomitszym wodzem i żołnierzem polskim, chociaż nietylko nigdy pozytywnego sukcesu nie odniósł, ale od Korsunia do śmierci jest przyczyną wszystkich niepowodzeń przy próbach załatwienia sprawy kozackiej, bądź ugodą, bądź siłą. Skąd się zrodził ten fakt niezaprzeczalny, że wszystkie jego ewidentnie haniebne czyny, jak sprawa Lwowa, napady, rabunki, ucieczki, są schowane niemal pod ziemię, a wszędzie pełno wiadomości pokątnej opinji np. że był duszą obrony Zbaraża, że tuż przed Pilawcami wymordował 48.000 Kozaków (choć niewątpliwie nie pobił nawet 48), skąd ta fama o bohaterskim odwrocie, o pogromach Kozaków tu i tam, chociaż uciekał, tępiąc po drodze tylko drobniejsze bandy chłopskie?

Wśród innych uprzednio naprowadzonych momentów niewątpliwie niespodzianką dla opinji polskiego myślącego ogółu będzie fakt, że obok skłonności i nastawie-

wień masy szlacheckiej, drugą trąbą jerychońską Jaremy z połowy XVII wieku byli — nieodzowni Żydzi.

Jarema nie kochał Kozaków, którym początkowo chciał hetmancić, a skończył wobec nich na bezcelowych okrucieństwach i wbijaniu na pal. Nie kochał on niewątpliwie Rzeczypospolitej, bo całe życie knuł, planował, a nawet próbował ją rozsadzić. Sam o sobie powiedział w tekście zasługującym na zaufanie: „daję wam szlacheckie moje słowo, pod mojem sumieniem: skoro obecny sejm nie stanie we wszystkim według mego pozwolenia, to nagotuję wam, całej Rzeczypospolitej piwa, gorzej od Chmielnickiego“. (Akty J. Z. Ros. III — 401). Gotował się też rzeczywiście całe życie, by Polsce nawrócić piwa, gorzej niż Chmielnicki, ale przy całej złej woli i ambicjach, brakło mu na to zdolności wojskowych, oraz środków działania, gdyż zebrane wojska zawsze mu się rozlatywały. Był jednak w Polsce wówczas także trzeci naród, przez historję tych czasów zupełnie zapomniany. I oto Wiśniowiecki — według najdosłowniejszego hebrajskiego tekstu — „kochał naród izraelski nadmiernie“. Istnieje szeroko znana w całym świecie kronika hebrajska Natana Hannowera, spisana współcześnie, a raczej równocześnie z wypadkami z „Ogniem i Mieczem“, pod tytułem „Jawein Mecula“, t. j. „bagnu głębokie“, czy raczej „kozackie bagno“, która od XVII do XX wieku doczekała się 9 wydań w języku hebrajskim i żargonie, oraz tłumaczeń na języki francuski, niemiecki, rosyjski, a ostatnio również na polski, w tłumaczeniu znanego historyka Ballabana, wydanem wśród pism Rawity-Gawrońskiego („Sprawy i rzeczy ukraińskie“, Lwów 1914, od str. 1 — 76, za którym to wydaniem cytuję). Kronika Hannowera przy wszystkich swych błędach, przesadach nieraz i górnolotnych porównaniach, jest wprost niezrównanym, co do swej wagi, dowodem, co czuły i myślały setki ghejt żydowskich, kahalów i podkahalków, o polsko-kozackich wypadkach lat 1648 — 1651, których skutki zresztą ich właśnie najciężej ugodziły. Otóż właśnie w tej kronice Hannowera znaleźć można (może nawet główną), podstawę tej famy o Wiśniowieckim, rozpowszechnionej w ówczesnej Polsce. Tam znaleźć można te wszystkie, — płynące z ewidentnie dobrej wiary — opisy nadzwyczajnych, a nigdy niedokonanych czynów *bl. pamięci Wiśniowieckiego*, pochwały „dzielności“ jego syna (sic!), tam tkwi w całości system przemilczania wszystkich jego spraw hańbiących, jak sprawa Lwowa, tam zjawia się on jako duch, podtrzymujący obrońców Zbaraża („zagrzewał serce ludu“), tam wreszcie tkwi źródło opinji, że był on największym wojownikiem polskim, stale krzywdzonym na rzecz ludzi bez większej wartości. Oczywiście w gruncie rzeczy jest to przypadek, wynikający z systemu gospodarczego Wiśniowieckiego na Ukrainie, którego nie mógł znać Sienkiewicz, tak zresztą jak nie wie nic o nim dotychczas opinja polska, gdyż ten stosunek Wiśniowieckiego do Żydów został ukryty w cieniu, z niezrozumiałą co do gatunku motywów wstydlivością, chociaż Hruszewski tem obszernie się zajmował.

Tam wreszcie — dla kompletu — w kronice Hannowera (str. 63) znajdują czytelnicy z gruntu zmyśloną bajkę o otruciu Wiśniowieckiego przez polskich senatorów, która to wersja powstała już w czasie krótkotrwałej jego choroby i była powodem zarządzenia sekcji zwłok.

Pozostał wreszcie po śmierci Jaremy, jego syn, którego wybór na króla nasze nauczanie historji ubrało w pragmatyczną bajeczkę, że naród z wdzięczności za zasługi ojca obrał Michała Wiśniowieckiego królem. Przecież zaś łatwo można sprawdzić, chociażby z wszystkim dostępnym Paską, że wybór Wiśniowieckiego był „szaleństwem“ szlacheckiej ochlokracji, rozwściekłej w gruncie rzeczy świeżą pamięcią wysiłków Jana Kazimierza, by ratować Polskę i realizować już w XVII wieku pewne zasadnicze punkty reform, które potem w całości odnaleźć można dopiero w planach stronnictwa patriotycznego Sejmu 4-letniego.

Tłuszcza szlachecka, okrzykująca się za mitycznym „Piastem“, terroryzuje wówczas senatorów, chroniących się pod ławki, gdy służba, strzegąca szopy senatorskiej, pada trupem. W takim to nastroju i w takiej sytuacji gmin szlachecki, głoszący *vitrim*, okrzykuje Piasta królem, nie wiedząc, kto jest ten „Piast“, względnie, czy tym Piastem jest mało znany Polanowski, lub podsuwany przez agentów Olszewskiego, przez nikogo niewidziany, a słyszany z famy — Wiśniowiecki. Jedyni tylko kuzyni Zamoyscy, którzy go znali, próbowali zwalczać ten wybór.

T. zw. jednolicie zgodny wybór narodu szlacheckiego był nietylko decyzją najmarniejszą, ale również najszkodliwszą, chociaż właśnie dlatego po Michale Wiśniowieckim musiało pozostać najwięcej panegiryków, gdy po Stefanie Batorym i Janie Kazimierzu została największa ilość oczerniających pamfletów. Szybkim krokiem nadciągała tragedia upadku Polski. Tuż z wyborem Wiśniowieckiego, a na sto lat przed rozbiorem i Stanisławem Augustem, zjawia się na ulicach Warszawy widmo pruskiej kibitki, wysłanej przez pruskiego rezydenta, by porwać Kalksteina ze środka stolicy na ścięcie go potem w Prusiech, mimo bezsilnych protestów rządu polskiego. A jeszcze, tak jeszcze niedawno Jan Kazimierz wytrzymał całą burzę kozacko-tatarską, m. in. dlatego, że żądanie wydania Czaplińskiego zemście Chmielnickiego, uważał za rzecz poniżej godności Rzplitej.

Wypadki zaczynają wówczas biec szybko. Wkrótce umiera w dalekim francuskim Nevers, abdykujący z własnej woli dla dobra Polski, Jan Kazimierz. Tam to, daleko we Francji, napis wyrity na grobie, kryjącym jego serce, mówi, że zmarł z żalu na wieść o zdobyciu Kamieńca przez Turków.

Utrata Kamieńca — to znak, jak kłątwa krwi Jaremy w jego synu działała poza jego grób.

Od 1 stycznia 1934 r.

nowa powieść

MICHAŁA CHOROMAŃSKIEGO

W GAZECIE POLSKIEJ

WYDAWNICTWO INSTYTUTU BADANIA NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI

FELICJAN SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI

„MOJA SŁUŻBA W BRYGADZIE“

Tom I, wydanie II

Cena zł. 12.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach.



## NOWE POEZJE

JASNORZEWSKA  
CZUCHNOWSKI  
PRZYBÓŚMarja Jasnorzewska (Pawlikowska). *Śpiąca załoga*. J. Mortkowicz. Warszawa 1933.

Twórczość poetycką Pawlikowskiej można przyrównać do złotnictwa. Wiersze jej mają w sobie cechy tej subtelnej roboty — coś z ciągnięcia cienkich płatków złota, z ozdabiania drobnych precjozów filigranem. Są lekkie, zwiewne i czyste, jak kolory płatków kwiatu. Najbardziej charakterystyczne są dla autorki drobne impresje liryczne, jak *Teatr, Krokusy, Samobójstwo dębu, Górski oset, Mgła* i t. d. Uderzająca trafność w oddaniu istoty wzruszenia i zwięzłość wyrazu sprawiają, że są to istotne perełki poezji. Drobiazgi te wywodzą się z czułości, z iście kobiecej wrażliwości na zjawiska. Zetknięcie poetki ze światem — to bolesne drażnienie żywego naskórka, a wynik tego zetknięcia, wiersz, jest kroplą żywej krwi. Lekkość, pozorna łatwość i przekonująca bezpośredniość tych wierszy jest skutkiem natychmiastowej reakcji, przedewszystkiem uczuciowej, na każdy fenomen sensualny. Refleksji znajdujemy w nich tylko tyle, ile jej się wiąże organicznie z emocją — jest to charakterystyczna cecha organizacji psychicznej autorki. Zwięzłość wyrazu wynika z usunięcia wszelkich zbędnych produktów refleksji, z działania jedynie nastrojem celnej i nie gadatliwej przenośni.

Przytaczam jeden przykład, takiego lirycznego obrazka, wiersz „Mgła”:

Samolot na dębie wisi  
W okaleczeniach licznych.  
Otoczyły go liście, jak gapiowie cisi,  
Jak dobra publiczność — —  
Mgła rozdziera szaty na sosnach,  
Winowajczyni żaloszna...

Celem tej błyskotliwej, uwodzicielskiej liryki, grającej harmonijnymi akordami słów i obrazów, nie jest głębia przeżycia, jego analiza. Wydobyć nastroju lirycznego w całej jego czystości — kilku pewnymi pociągnięciami — oto cel działania wierszy Pawlikowskiej. Czasem celem tym jest zatłuczająca kosmicznością pointa, jak w wierszu „Zdobycze”, czasem tylko gra słów w pencie, jak w wierszu „Stary lokaj Jan”. Satyryczno-obyczajowe zainteresowania autorki znajdują swój wyraz w kilku utworach: *Mieszczkański kredens, Obraz cnoty, Prawo nieurodzonych* i inn. Skondensowaną balladowością nastroju wyróżnia się wiersz „Kukulka i zakochani”. Wdzięk wierszy Pawlikowskiej podnosi ich nieskazitelną formę dźwiękową: budowę mają przeważnie stroficznie (przeważa zwrotka czterowersza), rytmika miarowa. O świeżości i trafności obrazowania niech zaświadczy wyjątek z wiersza „Cumulus”:

„Za wzgórzem chmury powstają,  
Jakdyby w trudzie i bólu...  
Mózgiem wytacza się białym,  
Olbrzymi, świetlny cumulus.

×

Marjan Czuchnowski: „Tak”, poezje i Julian Przybóś: „Wgłęb las”, poezje.

Zanim przystąpię do omówienia nowych publikacji dwu wybitnych przedstawicieli polskiej poezji awangardowej, chciałbym przypomnieć kilka ogólnie znanych i przyjętych sądów, które mają mi posłużyć za punkt wyjścia przy ocenie omawianych książek.

Zródło poezji, jako zjawiska estetycznego, wpływa z harmonii, ładu elementów, składających się na daną konstrukcję poetycką. (Pozwalam sobie użyć tego starego i znanego, może dowolnego i nieścisłego kryterium piękna, nie twierdząc jednak przez to, że istnieją jakieś ściśle określone prawidła ładu, któremi, jak miarką można by mierzyć stopień piękna, zawartego w danym utworze). Ład i harmonia nie są równoznaczne z równowagą elementów. Elementami zasadniczymi tworzywa poezji, słowa, są przysługujące mu wartości: dźwiękowa, znaczeniowa i emocjonalna. Dyspozycje psychiczne twórcy decydują o przewadze w jego twórczości tego lub innego czynnika, przez to o wyborze środków wypowiedzi dla uwewnętrznienia danego stosunku elementów przeżycia, a

więc o formie dźwiękowej utworu, o użyciu tych czy owych postaci mowy, o takiej lub innej składni. Te właśnie czynniki wspólnie wpływają na indywidualne różnice w twórczości, na styl, tematykę, strukturę, zabarwienie uczuciowe utworu, na plastykę i obrazowość. Mówię o takiej zupełnie naturalnej przewadze jednych składników nad drugimi, która u świadomych siebie twórców jest czynnikiem pięknym, aby przeciwstawić jej programowe przerosły, które powstają na gruncie ułamkowych teorii poetyckich, prowadzą wprost do manieri.

Właśnie poezja Czuchnowskiego (Marjan Czuchnowski „Tak”, — poezje, Kraków 1933) może służyć jako przykład owych przerosłości, wynikających z programowego nadużywania pewnych środków wypowiedzi i z bezkrytycznego stosowania się do niektórych teoretycznych założeń t. zw. nowej sztuki, które już zaczynają odgrywać w niej rolę jakichś quasi klasycznych kanonów umiejętności pisarskiej.

Pierwszy i, bodajby, najważniejszy przerosłość — to zamknięcie środków wypowiedzi w granicach metafory w jej czystej postaci, co w połączeniu z szeroko stosowaną elipsą daje nieznośny barok stylu, często wręcz niezrozumiały.

(Str. 9)

„Biały pęk mrozu zwilgl.  
Pod żyrandolem blasku, z srebrnych liści,  
wypuszczał w drugi pęk”.

(Str. 24)

„Ludzie kochają pijąc krzyczącą herbatę  
włosów.

Mówię jasno, aż: nie!”  
(Str. 15)

„Rzeki gniazdo  
wylęgło  
wodę w obierane perły —  
z gwiazd  
nago  
jak motyl”.

W stosach takich ozdób ginie konstrukcja, zatracą się linia tematyczna i emocjonalna utworu, stajemy bezradni przed budowlą z ornamentów, a nie z cegieł. Nadużywanie metafory z pominięciem innych postaci mowy, jak porównanie, zamiennia, ogarnienie, jest właściwie zubożaniem środków wypowiedzi, a nie wzbogacaniem ich.

Mimo samorodności talentu Czuchnowskiego, daje się mocno odczuć wysiłek poety w kierunku dociągnięcia twórczości do swych kanonów estetycznych, czego skutkiem jest sztuczność i zaniedbywanie budowy dźwiękowej, szczególnie sylabicznej. Trudno wymówić i niepięknie brzmią takie zestawienia: „lamp z snu”, „z srebrnych liści”, „rok w krwi”, „nogi ich”. Niechlujna i nieprzemyślana jest budowa okresów rytmicznych, z wyjątkiem poematu „kamienisty dom”. Postulat ekonomii środków, który w danym wypadku można by nazwać postulatem ubóstwa środków, klóci się u Czuchnowskiego z peiperowskim postulatem zdania rozkwitającego, który przez nadmierne rozbudowywanie metafory, prowadzi do liryczno-zdobniczego gadulstwa.

O tem gadulstwie dobitnie świadczy słownik przymiotników. Autor używa ich naogół nieskrępowanie, ale słownik jego jest niezmiernie ubogi i, prócz kilku innych, ogranicza się do określeń kolorów. W każdym wierszu spotykamy powtarzające się określenia: srebrny, złoty, żółty, błękitny, szary, czerwony i szklany. Rozumiem jeszcze upodobanie autora do koloru czerwonego, ale nie wiem dlaczego, gdzie się tylko da i nie da, jest „szaro”: i „gniewu szare jęzory” i „nędza szara piastunka”. Widocznie te określenia mają dla autora jakieś specyficzne zabarwienie emocjonalne, gdyż zbyt często niczem nie są usprawiedliwione.

Naogół, dużo jest w tomie łatwizny, wysiłonej na oryginalność. Strzelanie w wierszu zdaniem: „A tam jawory w nią ryk” — niezwiązany z nim nastrojem i nie odgrywającym roli czynnika konstrukcji, jest tylko liczeniem na łatwy efekt asonansu. Jest to jeden z przykładów. Najlepsza partja książki — to poemat „kamienisty dom”, mający wyraźnie zarysowaną linię nastroju lirycznego. Niestety, wiele jego wartości ginie w manierycznym zdobnictwie: nawet takie zalety Czuchnowskiego, jak świeże odczucie,

przyrody i życia wsi. Poemat „Tak” jest zanadto „eliptyczny”, aby był zrozumiały i odczuty przez tych, dla których jest przeznaczony. W związku z jego budową wędług peiperowskiego kanonu t. zw. układu rozkwitającego, chciałbym zwrócić uwagę, że ten kanon nie jest niczem innym jak starym, poczciwym zwrotem retorycznym, powtórzeniem, rozbudowaniem tylko i „kanonizowaniem”, że tak powiem. Nie sposób nie wspomnieć na zakończenie o transkrypcji graficznej utworów Czuchnowskiego, która jest bezsensowna i nie usprawiedliwiona, ani budową rytmiczną, ani okresami logicznymi, ani akcentami emocjonalnymi. Przykład:

„Tak  
stoi miasto w widoku.  
U  
żółtych dachów w przedmieściu. Jak  
wzgórze.

Dla  
mlecznych niebios ulica jak rana.

Cicho.

Księżyc  
umknął  
za rogatkę ciemności  
niebo mnąc.”

Sumując, można powiedzieć, że zarozumiała programowość Czuchnowskiego szarpie na kawałki niespokojną i tak linję liryzmu, rozbija jednolitość konstrukcji i nie daje czystych, zamkniętych całości estetycznych. To poezja in statu nascendi, której gorącemu prądowi doktryna estetyczna grozi zupełnym skamienieniem w manierze.

Tom Juliana Przybósia „Wgłęb las” (biblioteka a. r. tom 3, Cieszyń 1932) pełni dojrzałości, skończoną doskonałością wyrazu formalnego wybija autora na czoło awangardy. W przeciwieństwie do Czuchnowskiego skupione, zwięzłe, zamknięte konstrukcje liryczne Przybósia są doskonałe i nie pozostawiają uczucia niedosytu estetycznego. W swych założeniach teoretycznych ulega poeta silnym wpływom Peipera, którego doktryna ciąży nad nim, skutkiem czego w wielu miejscach wyraźnie występuje lekka skłonność do manieryzmu. Nie jest to jednak maniera groźna, gdyż wielki talent, siła i głębia przeżyć, dążność do ścisłości w wyrazie tych przeżyć rozbijają doktrynę, wylamują się z niej i niwelują jej wpływ, działając stale w kierunku większej prostoty wyrazu poetyckiego.

Niweluje wpływ doktryny, przede wszystkim, zdawanie sobie sprawy przez poetę z wartości słowa, świadomość jego oddziaływania w zakresie treści znaczeniowej, emocjonalnej i pełne zrozumienie jego wartości dźwiękowej. Ścisła celowość w użyciu słowa sprawia, że poeta nie buduje żadnego zdania na efekt, dla ozdoby, a dla osiągnięcia zamierzonego wyrazu przeżyć. Przybóś może służyć przykładem ekonomii środków. Nie pogardza on żadną z tych możliwości, jakich dostarcza mowa; używa je tylko w koniecznym dla osiągnięcia celu zakresie. Przy bliższej analizie, mimo przewagi metafory czystej, znajdujemy w tomie wszystkie postacie mowy i zwroty retoryczne, celowo użyte. Elipsa na właściwych miejscach wyraźnie znaczą konstrukcję obrazową i emocjonalną. Składnia Przybósia odznacza się czystą, klarowną budową zdań i okresów. Nurt skupionego, silnego liryzmu płynie przez zamknięte, nie nagannie zbudowane konstrukcje wierszowe. Niemiarowe, o szerokim oddechu okresy rytmiczne zamykane i wiązane rymami, lub wolne od nich, mają budowę zrozumiałą.

Poeta używa rymów oddalonych. Jestem zdania, że przy długim i bardzo skomplikowanym w budowie okresie rytmicznym, rymów może nie być wcale, a rolę rymów oddalonych z powodzeniem spełniają rymy wewnętrzne. To też u Przybósia bardziej natrętnie rymy, choć oddalone, sprawiają wrażenie zamknięć bliskich, ale dużych i skomplikowanych okresów rytmicznych. Pozostałe albo giną lub też sprawiają wrażenie rymów wewnętrznych, albo przypadkowych.

Pełne zrozumienie wartości dźwiękowej słowa sprawia, że linja melodii samogłosek jest u Przybósia czysta. Wyzyskanie wartości brzmień spółgłoskowych i ich zbiegów

podkreśla muzyczność. Wogóle budowa sylabiczna bez zarzutu.

Głębokie wniknięcie w życie przyrody i krajobrazu szeregiem pięknych skojarzeń płynie przez cały tom, podzielony na kilka cyklów.

Pierwszy — „bogi” — wspomnienia dzieciństwa — obrazuje rozwój przeżyć religijnych od zbudzenia się metafizycznego lęku przed tajemną przyrodą, poprzez przeżycie w sobie nawarstwien katolickich — sformowanych wychowaniem, aż do wyzwoleń, którym jest poczucie patosu samotności indywiduum wobec świata.

Cykl — „tobie” — zawiera kilkanaście głębokich i silnych, a zarazem niezmiernie subtelnych liryk miłosnych.

„dalej brzoza” — to napęczniałe od wewnątrz refleksją przeżycia obcowania z przyrodą i wreszcie „widzę” ma swoją linię tematyczną w zmaganiu się z samym sobą nad zrozumieniem i przyjęciem kierunków rozwojowych otaczającego świata nędzy, krzywdy i śmierci.

„Gdzież tu tworzyć zdarzenia i dzieje,  
o co zaczepić ręce  
Tu — tylko się koło widnokregu dzieje  
na którym czas niebo sklonił.  
Ręk, które odwieka dłuższą zagonów  
daleka,  
nie zaczepię o niezaznaczone granice,  
jak o nic”.

(poła pochyłe)

Wiersze Przybósia nie są łatwe, przy dzisiejszym przeciętnym poziomie nie mogą być popularne. Wnoszą one do poezji wartości oryginalne i wskazują z jakim zasobem wartości uczuciowych i intelektualnych należy przystępować do poszukiwania nowych form wyrazu.

Przybóś może służyć za wzór poety, biorącego pełną odpowiedzialność za swoją twórczość.

×

Stanisław Helsztyński. *Księga Ozeasza* (Przekład biblijny). Bibl. Wici Wielkopolskich t. III r. 1933.

Ma to być przekład poetycki prorocstwa Ozeaszowego z Biblii. Kto jednak pragnie wzruszeń poetyckich, niech raczej przeczyta odnośne ustępy z biblii.

Porównanie pierwszego lepszego miejsca tekstu biblii z przekładem p. H. wykaże, że poezja zawarta w biblii wyszła na tej transkrypcji, jak Zabłocki na mydle. Naprzykład: Pisz p. Helsztyński:

„Niewstrzeźliwość i opilstwo mąką rozum:

do różdżki poszli na wywiady,  
Rzucane strzałki los dawały —  
odstępstwem się splamili,  
odstępstwem od praw Jahwe” (str. 25).

Gdy tekst Biblii brzmi: (Ozeasz IV, 11, 12) „11. Wszeteczeństwo, i wino, i moszcz odejmują serce. 12. Lud mój drewna swego się pyta, a kij jego odpowiada mu; bo ich duch wszeteczeństwa w błąd prowadzi, aby nierząd płodzili, odstępując od Boga swego”.

×

Stanisław Bąkowski. *Ku przelęczy*. (Księgarnia J. Dippla. Poznań, 1933).

Jest to już dziewiąty tom poezji Bąkowskiego. Nie znam poprzednich, ale ten świadczy o usilnej pracy autora nad dociągnięciem się do poziomu. Stosunek autora do poezji jest pełen powagi i to sprawia, że niektóre krótsze i bardziej zwarte w wyrazie wiersze, jak „Owies wyżynny”, nabierają cech szczerego i bezpośredniego liryzmu. Niestety, nadmierna wymowność, oklepne rekwizyty, miejscami niemal żargon poetycki z epoki Młodej Polski („Zorzane spełnienia wrota”, „U cichych zmierzchowych rozstajni” i t. d.), przewaga nieskomplikowanej i mało plastycznej opisu, czasem wręcz nieudolność w wyrażaniu myśli, naprz. (str. 20):

„Nadbiegl i czeka pies.  
(Tam dalej krowy się pasą).  
Obchodzi nas, wacha; — lasi się...:  
już ufa. Takie to mądre zwierzę jest”.

— nadają tomikowi charakter przebrzmiałej mody poetyckiej, epigonizmu, którego poziom ogólny nie jest wysoki.

Władysław Sebyła.

## DYSKUSJE

## PRZEGLĄD PRASY

Pion ostatnich tygodni przynosi wrażeń jak najgorsze. Uderza brak jakiegokolwiek osi orientacyjnej, doszczętne zagubienie się w najdrobniejszych dorywczych kalkulacjach. Przoduje w tym stylu prasa narodowo-demokratyczna.

Strug nie przyjął godności członka Akademii. Strug zostaje natychmiast obwołany przez A. B. C. „znakomitym pisarzem”. Przedtem nim nie był. Bo i czemu ma się zachwycać publicysta czy dziennikarz n. d. w twórczości Struga? Jest jasne, że cała od początku do końca jest mu wroga. I czegoż to nie wypisywano o tym Strugu! Ale Strug zostaje „znakomitym pisarzem” dlatego, że wykonał gest „antyrządowy”. Stronictwo, które chępi się swą daleko-wzrocznością — w zetknięciu z konkretnymi sprawami, schodzi na podwórko najbardziej żalostnej dorywczej kalkulacji. Albo co ma wspólnego z narodową demokracją — poza wspólnym pochodzeniem z wybitnymi publicystami i działaczami tego stronnictwa — Anatol Stern? Nic zgola. Ale Anatol Stern napisał komedję, która dogadzała fobjom stronnictwa. I Stern staje się nietylko ulubieńcem prasy n. d., ale nawet jej współpracownikiem.

J. Miller, rekordzista napuszonej tandety językowej, A. B. C. właśnie wynosi do godności wielkiego stylisty — dlatego, że napisał parę nieudolnych impertynencji pod adresem „Pionu”. Za tę cenę wybaczone mu wiele: i sympatie komunistyczne, i pochwałę masonerii, i szydercze wyrwyśy à propos Boga i narodu. — Ideologia „zwarta” — niema co!

Prof. Górka napisał w „Pionie” artykuł obficie udokumentowany i demaskujący Jaremę Wiśniowieckiego. Nie dziwiłbym się, gdyby teza Górki spotkała się z krytyką rzeczową. Ale gdzie tam. Czy Górka ma rację, czy nie — to nie obeszło ich wcale. Ten problemat dla nich nie istnieje, jak wogóle problemat prawdy i fałszu. Oni wiedzą tylko, że „trzeba” napisać o artykule Górki parę „odpowiednich” sentencji. No dobrze, ale to tak nie idzie!

Polemika rzeczowa jest im zupełnie obca. I to tak dalece, że podnoszone w tej sprawie zarzuty, uważają za dziwactwo, za „dziką pretensję”. Ty mnie — ja tobie. Oto ich formuła polemiczna. Jak nie można napisać, no to choć przepisać, choćby to przepisanie było ni w pięć ni w dziewięć. Jakie to dziecinne! Ach, und wie gazilianerisch! Ta kancelaryjna skrzętność, to bezmyślne szperactwo, to wężenie wszędzie „perzonaljów”, ta niezachwiana wiara, że poza ping-pongiem osobistych dokuczliwości właścicielu niema nic, że do wszystkiego można znaleźć klucz w jakichś tam szpargalkach, wycinkach, podpatrzonkach, że wszystko kończy się jakimś „a widzisz — wyszperałem!” Nie z głowy, wszystko ze ściągaczki. Do djabła! Są przecie sprawy, zagadnienia, jest życie, są antagonizmy, nie papierowe ale realne — o tem gadać, o tem pisać.

Jeden z najzdolniejszych publicystów n. d. p. Piasecki wygotował spory artykuł o mowie Berenta. Ten przynajmniej umie podlać swoje wywody sosem jakiego takiego obiektywizmu, poczuwa się do tej przyprawy — to już dobrze. Ale i tu sztychło z worka wylazło. Bo ktoś to mówił p. Piaseckiemu, że godność akademika przyznana pisarzowi jest synonimem wyniesienia go jako symbolu współczesności? Raczej przeciwnie, w akademjach zasiadają przeważnie pisarze starsi, zasłużeni, przedstawiciele literatury, która już swoją rolę spełniła, a wyjątkowo tylko awangardziści. Czy Mirjam z „Chimerą” też mają reprezentować awangardę?

Zagadkowo również brzmiały hołdy oddawane Zeromskiemu. Bo przecież niedawno jeszcze prasa narodowo-demokratyczna (proszę przypomnieć sobie łaskawie nieprawdopodobne hece z powodu „Przedwiośnia” z protestami i tromtadrackimi tremolo) pisała o Zeromskim, jako o pornografie (tak!) i gorszycielu. A w ich obowiazku przecie wszystko dzieje się na komendę. Dziś — Zeromski jest już świętym. Ewolucja poglądów? — Bardzo ładnie, ale kto powołuje się na ewolucję po-

glądów, musi pokazać ognia tej ewolucji, musi ją uzasadnić — jeśli chce, aby nowe jego poglądy traktowano poważnie, a nie jako zwykłą taktyczną woltę. A tego uzasadnienia — ani śladu.

Pogodną nutę w tę ponurą symfonię prasową wniósł jeden tylko p. Antoni Słonimski, w swej „Kronice tygodniowej”. Chciał mi widać zrobić przyjemność i do-wieść, że parodia, którą wydrukowałem niedawno w „Pionie”, była trafna. Ale w tej sympatycznej intencji przeholował. Trochę za dobrze udało mu się to dowodzenie.

Irzykowski zarzucił p. Słonimskiemu logikultwo, — że w rozumowaniach jest suchy, kanciasty, że nie wyczuwa odcieni prawdy i dlatego jego feljetony, mimo znanych zalet, są nieprzekonywujące i w gruncie szablony. No tak, ale przynajmniej w ramach tego swojego logikultwa był dotąd Słonimski mniej więcej poprawny. Dbał bodaj o zewnętrzny porządek myśli, o powierzchowną logikę. Teraz pod tym względem zdegreolował. Przypisuje mi (na podstawie recenzji „Nowy tom Boya w „Pionie Nr. 8) apoteozowanie wojny i pogląd, że życiu bez wojny grozi marazm i zubożenie. Muszę zapytać logikule — go upoważnia do takiego twierdzenia? Bo przecie nie mój artykuł, w którym braterstwo ludów wysuwam jako postulat zrozumiały sam przez się. W artykule moim niema ani jednego zdania skierowanego przeciw idei pacyfizmu, jest tylko krytyka tego typu pacyfizmu, który p. Słonimski uprawia. Czy i tak proste rozróżnienie jest już dla p. Słonimskiego za trudne? — Sam nieraz, kiedy o niego chodziło, zarzucał swoim przeciwnikom, że nie polemizują z jego tezą, lecz z tezą fikcyjną, którą sami wymyślili, a następnie jemu podsunęli. Otóż p. Słonimski chwycił się tego samego sposobu w stosunku do mnie: przypisuje mi twierdzenia, których nigdy nie głosiłem, a następnie je „krytykuje”. A może prosto mi wie, o co chodzi?

W takim razie mogę mu pomóc. Wojnę uważam za plagę ludzkości, a grozę wojny rozumiem, nie gorzej od p. Słonimskiego. Mam nawet wrażenie, że znacznie lepiej. Bo p. Słonimski stale mówi o wojnie jako krwawej farsie, ośmiesza ją i w gruncie bagatelizuje. Ja mam na wojnę pogląd bardziej pesymistyczny. Wiem, że ludom wciśka broń w rękę nie szajka facetów, którzy chcą zarobić na dostawach i paru posłów, popisujących się patriotyzmem, ale bardzo głębokie instynkty, tkwiące w psychice zbiorowości ludzkiej. P. Słonimski ośmieszając wojnę i traktując ją jako krwawą bujdy, — ośmiesza nie wojnę, lecz — pacyfizm. Bo cóż jest wart pacyfizm, który nie rozumie mechanizmu wojny? To tak jak lekarz, który choremu na cholera stępuje terapię właściwą przy leczeniu odry.

Zdziwienie p. Słonimskiego, że przecie poszczególni ludzie wojny nie chcą, a wojny jednak jakimś cudem wynikają — demaskuje tylko jego naiwność. P. Słonimski nie domyśla się nawet czegoś takiego jak psychologia zbiorowości, zasadniczo różna od psychologii indywidualnej. Z takimi poglądami doprawdy łatwo, a raczej trudno być pacyfistą! A tak się jakoś składa, że właśnie nasi pacyfiści mają takie poglądy.

Okropność wojny — a zarazem trudność walki z nią — polega na tem, że jest mieszaniną rzeczy wzniosłych i wspaniałych — z ohydnych; że tkwi w niej element tragicznej sprzeczności, że mimo swego okrucieństwa, porusza najszlachetniejsze strony duszy ludzkiej, że jest i rzeźnią — i szkołą wielkich onót. Nic też zrozumiałszego, niż pragnienie ludzkości, aby dobre elementy wojny izolować od złych i dać im inną naturalną ekspansję. Ale na to trzeba powołać do życia jakąś inną, równie silną konkurencyjną ideę, poruszającą te same sprężyny psychiczne co wojna, a nie prowokującą bestji ludzkiej. Taką ideą nie może być sama tylko obawa przed śmiercią i cierpieniem. Nasi pacyfiści chcieliby wygrać wielką i szlachetną sprawę małą i zupełnie nie fatygującąmi środkami — wiedzą, co dobre!

Próbą pacyfistyczną na wielką skalę jest akcja Gandhiego: nie rezygnować z obrotów swych praw narodowych, ale walczyć o nie jedynie oporem, bez rozlewu krwi. Konceptja wspinała — ale zbyt nam daleka. Są inne próby, na mniejszą skalę, a jednak ciekawe. Do nich zaliczam np. konceptję Bendi, którą rozwinął w swej „Mowie do narodu europejskiego”. Próba to w

gruncie dość pretensjonalna i „literacka”, ale bądź co bądź, widzi się tu borykanie z wielkim problematem. Tylko, że p. Słonimski i tow. o takich próbach nie mówią, nie interesują się nimi, a mam wrażenie, że wogóle nic o nich nie wiedzą.

Tak, przyznaję nie bez żalu, że parodia p. Słonimskiego jest od mojej znacznie lepsza, no i bez porównania złośliwsza.

J. E. Skiński.

## BILANS POLEMIKI P. MILLERA Z „PIONEM”

Bilans przykrej polemiki, wywołanej niesłychanym wystąpieniem p. Millera przeciw nam, przyniósł dość niespodzianie — obok objawów przykrych — również zdrowe i pocieszające. Przykrym i dość smutnym objawem było wystąpienie sekundującego p. Millerowi — p. Piaseckiego w „ABC”. Było ono objawem smutnym, ponieważ p. Piasecki, on — że pogromca i mentor stylistyczny Berenta i Staffa, z niesłychaną dżynwolturą rozprawił się z nami przy pomocy zwykłego, niezrętnego przekręcania.

To bowiem, co p. Pomirowski napisał w swej odpowiedzi p. Millerowi:

„chyba nie ulega wątpliwości, że jeżeli p. Miller, mimo iż stypendysta rządowy, przyznaje sobie — całkiem słusznie — prawo do niezależności myśli, słowa i czynu, to tembardziej i conajmniej takie samo prawo powinien przyznać tym, którzy takich indywidualnych zasiłków od rządu nie otrzymywali.

referuje p. Piasecki w ten sposób:

„Przetłumaczywszy je (powiedzenie p. Pomirowskiego) bardziej poprosto, otrzymamy zupełnie niedwuznaczny pogróbek, wystosowany do p. Millera: Cicho pan siedź — bo i pan brał pieniądze od Rządu”.

Przykre i smutne.

Jednak obok tego objawu musimy z obowiązkowo podkreślić objawy dodatnie.

Oto — nietylko „Kurjer Poranny” ale także i takie pisma jak „Epoka” p. Józefa Wasowskiego, czy „Człowiek w Polsce” — Adama Uziembły, z którymi — kto wie — czy w przyszłości nie będziemy musieli podejmować polemiki o problemy poważne i istotne (i z nimi — będzie to dla nas przyjemne i zaszczytne, bo ludzi ideowych i lojalnych szanuje się i ceni zawsze: i jako przyjaciół i jako przeciwników) — w tym smutnym sporze z p. Millerem mocno i dobitnie oświadczyły swą solidarność z nami:

„Epoka” pisze:

„P. Jan Nepomucen Miller napisał w „Robotniku” że powstały niedawno tygodnik „Pion” jest szkołą serwilizmu i rezygnacji z siebie dla pisarzy, cieszących się dotąd zaszczytną opinią niezależnych, jest narzędziem nie odrodzenia, lecz deprawacji moralnej literatury, której przykładową ilustracją jest świeżo ufundowana Akademia”.

Zarzut serwilizmu jest bardzo ciężki, jeden z najcięższych, jaki można postawić pisarzowi. P. Miller nie przytoczył dowodów na to, że współpracownicy „Pionu” są służalcami, wynajętymi za pieniądze rządu. Atak p. Millera jest nieodpowiedzialny i obrzydliwy. Trzeba raz skończyć z tego rodzaju inwektywami, które staczają nasze polemiki na poziom wręcz potworny. To, że „Pion” jest wydawany przy poparciu materialnym rządu, nie świadczy bynajmniej, że piszący tam deprawują się serwilizmem. Byłoby tak, gdyby to, co tam pisał, było wysługiwaniem się rządowi. A tak nie jest.

W imię prawdy i w imię walki z nieskim poziomem dyskusji publicznych wyrażamy tu pełną solidarność z odpowiedzią współredaktora „Pionu”, Leona Pomirowskiego”.

Tu „Epoka” przytacza główną część artykułu red. Pomirowskiego i kończy:

Takie przyparcie do muru słusznie się p. Millerowi należało.

„Kurjer Poranny” przedrukowując cały artykuł p. J. W. z „Epoki” pisze:

Z tym słusznym i energicznym protestem przeciw napastliwym a niesumiennym metodom w dyskusji polemicznej, łączymy się bez zastrzeżeń.

„Człowiek w Polsce” redagowany przez Adama Uziembły — pisze:

Serwilizm można uprawiać względem możliwych tego świata, aby uzyskać o nich jakieś dogodności. Uprawia się go wtedy, jeżeli wbrew przekonaniom własnym służy ich woli i pożytkowi, jeżeli się nie zna miary w chwalebnie.

Serwilizm można uprawiać względem tłumy tak samo, schlebującemu bez należytego przekonania. Serwilizm można uprawiać względem grupy, za pomocą której wyrabia się popularność.

Otóż ten ostatni gatunek jest najnikczemniejszy, gdyż okrywa się togą bohaterstwa nieraz, przybiera pozór odwagi w wypowiedzianiu własnego zdania.

Pan Miller dopuścił się właśnie tego nikczemniejszego gatunku serwilizmu, rzucając pod adresem współpracowników „Pionu” zarzut — serwilizmu. P. Miller jest o tyle inteligentny, że rozumieć musi, iż redaktorzy „Pionu” mieli więcej od niego sposobności do okazania odwagi cywilnej, jak fizycznej, że więcej odeń mieli sposobności do przeciwstawiania się brutalnej przemocy — i przeciwstawiali i narażali. I wie również dobrze, że na swoich stanowiskach trwałiby tak samo dobrze w „Pionie”, jak i w innym piśmie. I wie również, że jego inwektywy na nic go nie narażają.

P. Miller zapewne czytał „Pion” — więc wie, że ani jedno słowo w nim nie upoważnia do podejrzenia o służalstwo kogokolwiek z piszących.

P. Miller napisał o serwilizmie, żeby się wysłużyć czytelnikom pisma, w którym swój artykuł zamieścił, wysłużyć się i zyskać popularność.

I niech się p. Miller nie dziwi, że spotkał się właśnie jego serwilizm z potępieniem pism nietylko subwencjonowanych. Wraz z „Epoką” solidaryzujemy się z odprawą udzieloną mu przez p. Pomirowskiego.

P. Miller ma więc jedną zasługę w całej smutnej sprawie: że doprowadził do zmobilizowania i wspólnego wystąpienia przedstawicieli opinii naprawdę niezależnej, i wolnej już nietylko od serwilizmu ale i od służby interesom partyjek i klik.

Szkoda, że ta jego zasługa ma tylko charakter negatywny.

P. Miller ma więc jedną zasługę w całej smutnej sprawie: że doprowadził do zmobilizowania i wspólnego wystąpienia przedstawicieli opinii naprawdę niezależnej, i wolnej już nietylko od serwilizmu ale i od służby interesom partyjek i klik.

Szkoda, że ta jego zasługa ma tylko charakter negatywny.

DEKADA

TYGODNIK AKADEMICKI  
20 000  
EGZEMPLARZY  
NAKŁAD DUŻY

CENA  
10 gr.  
WARSZAWA



# POMNIKOWE WYDAWNICTWO NA SCENACH STOLICY

## DZIEŁ HOENE - WROŃSKIEGO

TEATR ATENEUM

Francis Warrain, wybitny metafizyk i matematyk francuski, autor wielu cennych dzieł o najwyższym poziomie myśli dociekającej, z których jedno duże („Arma ure metaphisique (table d'après la Loi de Creation de Hoene-Wroński)”) zostało przed kilku laty przełożone na język polski (wyd. Arcta), podjął obecnie prawdziwie pomnikowe dla całego świata filozoficznego, a zwłaszcza zaś dla Polski, dzieło: wydanie zbiorowe, w siedmiu tomach, w których 8-vo tomach pism filozoficznych genialnego naszego rodaka, który przed stuleciem zgórą pisał po francusku, Hoene - Wrońskiego. Ukazał się już właśnie pierwszy tom\*).



Podjął on to dzieło, jak się wyraża, dlatego, że uważa za konieczne „wypełnienie luki w dziejach filozofii, gdzie Wroński winien zajmować miejsce z racji cechy, dążeń i orientacji swej myśli”.

Dotychczas niejako mityczny, poczytywany (nawet w encyklopediach) za mistyka i marzyciela, chociaż, głosząc wszędy prymat rozumu, zwalczał namiętny mistycyzm, jako „paraliż rozumu”, Wroński, prócz poszczególnych wielbicieli, a także i zaciekle przeciwników i ujemców, nie doczekał się jeszcze tego powszechnego uznania, na jakie bezwzględnie zasługuje. Warrain sądzi, że właśnie najlepszym środkiem rozproszenia błędnych ocen, jakie ściągają na siebie jego myśl filozoficzna, będzie przedstawienie jego dzieła, wolnego od panegiryków i polemik, i uporządkowanego według pewnego planu.

Plan ten jest ciekawy i został już raz zastosowany przez Warrain'a przy wydaniu zbiorowym dzieł Charles Henry'ego (wyd. N. R. F.). Jest on zgodny zresztą zasadniczo z tym planem, jaki dla swej doktryny wykreślił sam Wroński w swej Nomotetyce i Prolegomenach, z przesunięciem tylko nieco bliższym w kolejności głoszenia tej doktryny Prawa Stworzenia, według którego jest zbudowany cały system Wrońskiego, a czego on, ze względów umysłowych i praktycznych swej epoki, nie uczynił.

Ponieważ historia filozofii, podług Warrain'a i zgodnie z Wrońskim, winna być uważana jako etapy postępu ducha ludzkiego, zamierzał więc Warrain, przez wykład tekstowy i krytykę dzieł Wrońskiego, wyciągnąć z nich elementy nowego postępu umysłowego.

Olbrzymia ta praca podjęta została przez wielkiego i sprawiedliwego miłośnika Wrońskiego i Polski w sposób następujący.

Naprzód, przedstawienie w porządku możliwie racjonalnym tekstów Wrońskiego, zbliżając to, co, poprzez różne dzieła, dotyczy tego samego przedmiotu. Następnie, komentarze, krytyki i porównania dedukcji, jakie można wyciągnąć z tej doktryny, z pojęciami obecnymi.

Jest to zasadniczo dzieło filozoficzne Wrońskiego, to znaczy, że obfite jego dzieło naukowe winno pozostać na stronic. Ale ponieważ to ostatnie jest ściśle związane z jego myślą filozoficzną, której wyjaśnienia niektóre strony, i ponieważ nawzajem podstawy filozoficzne dzieła naukowego dają odpowiedź na pewne zarzuty, jakie uczelni wytoczali, uchylając rozmyślnie te podstawy, Warrain słusznie uznał za konieczne podać w streszczeniu to, co Wroński wytworzył i w dziedzinie naukowej. Tu jednak starał się tylko ująć osnowę filozoficzną, na której jest utkane dzieło naukowe Wrońskiego, i to zwalnia go od zarzutu podawania wyników bez dowodu. To dzieło naukowe

stanowiąć będzie w zespole podjętego zadania tom czwarty.

Tom pierwszy poczyną przedmowa L. Z. Zaleskiego, prof. Uniw. Warszawskiego, wykładającego w Instytucie Słowiańskim Uniwersytetu paryskiego. Jest to rzecz ostrożna i ujmująca raczej po literacku potężną postać Wrońskiego na tle epoki romantycznej, bez szczególnej dążeń do wnikięcia w to, co stanowi istotną odrębność filozoficzną Wrońskiego na tle wszystkich epok ducha ludzkiego. Przedmowa ta stanowi piękną pieczęć ozdobną, niejako oficjalną, tego wielkiego dzieła. Dalej idzie cenne słowo wstępne (Préambule) Warrain'a, przedstawiające plan dzieła, Bibliografia ważniejszych dzieł Wrońskiego i nawet źródłowo wyprawowany słowniczek jego terminologii. Po tem już działy tekstowe. A więc: **Mesjanizm** (Przedmiot, Natura, Zasady, Problematy, Prawda), **Filozofja** (Podstawy, Nauki i Filozofja, podział Filozofji), **Metafizyka** (Absolut, Byt i Wiedza, Wiedza człowieka), i wreszcie **Metodologia Filozofji** (Władze i metody. Cecha różnych metod, Metody właściwe Filozofji). Wszystko to opatrzone bardzo cennymi komentarzami, krytyką i porównaniem z dzisiejszymi idealami filozoficznymi, dedukcji doktryny Wrońskiego.

Tom II obejmuje odrazu **Architektonikę Świata**

Tom III: **Encyklopedia** z całym rozległym zakresem nauk i pojęć.

Tom IV: **Dzieło naukowe**, obejmujące Matematykę czystą, Mechanikę niebieską, Nauki fizyczne, i nauki moralne z metropolityką, Ekonomją społeczną i t. d.

Tom V: **Filozofja historii** albo **Historjozofja** z Prawem postępu, z erami historii i t. d.

Tom VI: **Historja Filozofji**.

Tom VII: **Przeznaczenia Człowieka**: Odrodzenie duchowe i Stworzenie się własne. Problem zła. Objawienie. Religja. Kościół — Chrześcijaństwo spełniony albo Mesjanizm — Chrześcijaństwo absolutne, albo Parakletyzm.

Kończy dzieło Słownik filozoficzny i encyklopedyczny dzieł Wrońskiego, wraz z bibliografią całkowitą dzieł Wrońskiego (Dzieła drukowane i rękopisy niewydane).

Nikt lepiej i światlejszy od Warrain'a nie wykonałby tego zadania. Jeżeli zważymy ogromną spuściznę drukowaną i rękopiśmienną Wrońskiego, idącą w setki numerów, jeżeli zastanowimy się, jak światłego i potężnego umysłu potrzeba do objęcia całej tej tak wszechstronnej masy — całej tak zawrotnej doktryny Wrońskiego, do uszeregowania jej planowego, do wyjaśnienia jej krytycznego i porównawczego, — z czcią i wdziękiem stają pod tym pomnikiem wskrzeszonego i umocnionego Wrońskiego, przynajmniej musimy, że dziełem tem olbrzymim stawia Warrain pomnik zarówno sobie, swej zasłudze, swemu zamiłowaniu Prawdy, swym sympatjami dla Polski. Pokłon mu za to w długie lata!



Poklonić się też nisko należy panu Ernestowi Brittowi i jego małżonce, którzy sumą, sięgającą napewno poza setki tysięcy franków, finansują to wydawnictwo. P. Britt jest znanym wielbicielem Wrońskiego: jako muzykolog, od lat wielu stara się on zastosować Prawo Stworzenia Wrońskiego do wyjaśnień psychologicznych gry muzycznej. Wydana niedawno piękna książka jego „Lira Apolina” chlubnie przynosi tu światła, odnajdując odpowiedniki, według tego prawa, w siódemce harmonicznej (planetamej) i dwunastce chromatycznej (zodjalnej), pomiędzy światem muzycznym i światem astrologicznym, jak chciał Pytagoras.

Tę to parę ofiarnych małżonków ma na myśli Warrain w pięknej dedykacji na czele I tomu: „Hold i wdzięczność tym, których inicjatywa i szczodrość pozwoliły dźwignąć z zapomnienia wielkiego myśliciela zapomnianego. Niechaj to dzieło natchnie do zbawczych orientacji w tej epoce wstrząsu umysłowego i społecznego!”.

Józef Jankowski.

„Pan z towarzystwa” — komedia w 8-miu obrazach Waltera Hasenclevera na scenie Teatru Ateneum. Przekład Ireny Krzywickiej. Reżyserja L. Schillera. Dekoracje T. Roszkowskiej. (Dn. 5.XII.1933).

Ten „Ein besserer Herr” wyszedł ze szkoły Jewreinowa i jest jakgdyby współczesnym „Tem, co najważniejsze”: i tu i tam bohaterem jest reżyser życia, człowiek, który z profesji oszusta uczynił niemal funkcję społeczną. Tylko gdy u Jewreinowa ten interes społeczny zdaje się być głównym zagadnieniem, u Hasenclevera jest tylko dodatkiem — jego Moebius jest przede wszystkim hochstaplerem, zarabiającym pieniądze przez wyłudzenie u kobiet samotnych i najczęściej w starszym wieku; specjalny dział tworzą kucharki i pokojówki, których tradycyjnie sentymentalne serca nadają się szczególnie do schadzek i miłosnej korespondencji.

Komedia jest szczerze zabawna i ma kilka doskonale napisanych scen farsowych w stylu niemieckiego ekspresjonizmu, który oprócz sztandarowych dramatów wydal cały szereg tego rodzaju mniej lub więcej udanych utworów rozrywkowych. „Pan z towarzystwa” eksploatuje bowiem jeszcze drugi wątek komiczny — o wiele oryginalniejszy motyw zrationalizowanej pod względem tempa i form współżycia rodziny wielkiego finansisty. Ten prezes Kompas i jego najbliżsi są wprawdzie jeszcze jedną odmianą nowoczesnej rodziny z rozwydżonymi dziećmi, dla różnorodności zaś ze staroświecką matką, ale zastosowanie form urzędowania prezesa niezliczonych rad nadzorczych i dyrektora niezliczonych banków i przedsiębiorstw do stosunków rodzinnych, daje rezultaty bardzo zabawne i interesujące. Poprostu ma się żal do autora, że nie zamienił ważności tych dwu wątków — że

nie uczynił z Kompas głównego bohatera, a nie usunął w cień nieco natrętnego Moebiusa. A już scena ostatnia, owo „walne zgromadzenie” kobiet „poszkodowanych” przez Moebiusa mogło być o wiele zabawniejsze, gdyby właśnie było formą wmiczania się Kompas do — „przedsiębiorstw” Moebiusa.

Ten aż ośmioobrazowy żart sceniczny przygotowało Ateneum z dużą starannością i pomysłowością dekoracyjną i reżyserską, scena zaś sporu pomiędzy Kompasem i Moebiusem przypominała nam, że montował to przedstawienie sam Leon Schiller. Natomiast z pośród zespołu wykonawczego tylko niektórzy byli całkowicie na miejscu: doskonały w charakterystyce i pełen dowcipu p. Hajduga, dobry i lekki w grze p. Wyrzykowski, bardzo dobre figury charakterystyczne pp. Buczyńskiej i Bohdańskiej.

Natomiast dwie główne role męskie nie były właściwie obsadzone. P. Rutkiewicz w roli Kompas, jakby stworzonej dla Zelwerowicza, pokazał zaledwie swoje dobre warunki i zbyt młode zapewne lata, p. Woszczerowicz zaś w roli Moebiusa dowiódł raz jeszcze, jak silną vis comica dysponuje, nie stworzył jednak postaci dość lekkiej, uodmianę rozkosznego blagiera, stworzył postać głupawego chłopaka, mimo pozorów tupego, raczej lęklivego i rozkrzyżowanego.

P. Srogowiczówna, którą, zdaje się, po raz pierwszy widzimy na scenie, daje sobie doskonale rady z dialogiem i porusza się na scenie swobodnie: że nie ma w sobie nic z rozwierzganej milionerki, ale raczej coś z członka akademickiego kółka miłośników literatury — to już nie jej wina. Była zjawiskiem bardzo miłym, ale wywierala wrażenie wręcz odmienne od tego, jakie zamierzał dać autor.

W. Z.

### Najbliższe numery „PIONU” zawierać będą między innymi następujące artykuły i utwory:

- Cyprjana K. Norwida: Listy.  
Kazimierzy Hłakowiczówny: wiersz „Karjatyda” i przekład fragmentów z dramatu Fr. Schillera „Wallenstein”.  
Poezje: Józefa Czechowicza, Juliana Przybosa, Świętopelka Karpińskiego i inn.  
Nowele i opowiadania: St. Balickiego, M. Buczkowskiego, Stefana Grabińskiego, Tad. Łopalewskiego, Adolfa Rudnickiego, Elżb. Szemplińskiej, i inn.  
Adama Skwarczyńskiego: Literatura w Państwie Niepodległym.  
St. Ign. Witkiewicza: Zawsze to samo, czyli o potrzebie światopoglądu.  
Tadeusza Zielińskiego: Więcyśław Iwanow.  
J. E. Skińskiego: „Poznań”.  
Olgerda Górki: Czwarty, zamykający cykl, artykuł „Ogniem i Mieczem a rzeczywistość historyczna”.  
Kazimierza Wyki: Myśl Brzozowskiego.  
Zofji Szmydtowej: Pierwiastki platońskie w Dziadach drezdeńskich.  
Tad. Makowskiego: O pomniku Peowiaków.  
Ant. Wierzykiewicza: Rozmowa z prof. Edw. Wittgiem.  
Ant. Wierzykiewicza: Drogi i bezdroża współczesnego malarstwa.  
Wł. Klaczyńskiego: Rozmowa z prof. Lud. Ślodzińskim.  
Edwarda Boye'go: Rozmowa z Wincentym Rzymowskim.  
Artykuły: J. Ulatowskiego, J. Toeplitza i H. Krügerówny o zagadnieniach kina oraz szereg artykułów i korespondencji z Poznania, Wilna, Krakowa, Paryża i Berlina.  
Pozatem w nrze 12, — wprowadzamy stały dodatek architektury i urbanistyki redagowany przy współudziale St. i B. Brukalskich, Bohd. Pniewskiego, Ksaw. Pruszyńskiego, Jerzego Sosnkowskiego.

## KURJER PORANNY

codziennie w swoim odcinku powieściowym drukuje bogato ilustrowany reportaż afrykański, pióra polskiego podróżnika, Jerzego Giżyckiego p. t.

## „CZARNI I BIALI”

Fascynująca treść, oparta na faktach i przeżyciach autora, daje poraż pierwszy w literaturze polskiej rzetelny obraz stosunków, panujących w francuskich koloniach afrykańskich.

\* L'oeuvre philosophique de Hoene-Wroński par Francis Warrain avec préface de m. L. Z. Zaleski, professeur agrégé de lettres de la Faculté de Varsovie. Texte commentaires, critiques. Les Editions Vega, rue Madame, 45, Paris (276 str. in 8°, na pięknym papierze, z portretem H. Wrońskiego, w similigravurze. Cena 35 fr.).

